

ISSN 1505-8476

# informator



nr 192  
kwiecień 2005

GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI



**PREMIERA III EPIZODU GW: 18 MAJA!**

## CZEKAJĄC NA BLISKĄ PREMIERĘ III EPIZODU

Filmowa epopeja George'a Lucasa jest takim samym fenomenem współczesnej kultury popularnej (nie chcę tu używać pejoratywnie brzmiącego słowa „masowej”), jak najlepsze albumy Beatlesów, jak komiksy Goscinnego o Asteriksie, jak opasłe tomy Tolkienowskiej trylogii... Nestor polskich filmoznawców, Jerzy Płażewski, określając „Gwiezdne wojny” mianem „takiej sobie bajeczki” (w najnowszym wydaniu swej, znakomitej notabene, „Historii filmu dla każdego”) – zupełnie nie wyczuł oryginalności tego obrazu oraz specyfiki całego kinowego nurtu nim zapoczątkowanego!

Wcześniej filmy SF były w większości koszarne, nie dorównujące nawet przeciętnemu poziomowi literatury tego gatunku (szczegółowo o różnej genezie literackiej a filmowej science fiction pisałem dawno temu w „Fantastyce”). Powody tego stanu rzeczy były dwa: pseudonaukowy żargon większości tych bajek oraz ich groteskowa wręcz bylejakość techniczna; szlachetne wyjątki w rodzaju arcydzieła Stanleya Kubricka „2001: Odyseja kosmiczna” potwierdzały jedynie ową smutną regułę. Natomiast George Lucas, kręcąc w 1977 roku „Gwiezdne wojny”, przełamał wreszcie obie te bariery.

Po pierwsze – zrealizował widowisko na więcej niż przyzwoitym poziomie technicznym (łącznie z pierwszymi, nieśmiałyymi jeszcze, efektami specjalnymi uzyskanymi z wykorzystaniem komputerów). Po drugie – odszedł od pseudonaukowej manieri pierwotnej fantastyki naukowej, otwarcie stawiając na baśniowość i mistycyzm (i kreując całkiem spójne i autonomiczne Uniwersum).

Przyznam, że gdy po raz pierwszy obejrzałem ten film (nb. tuż przed maturą, w 1979 roku; wtedy, z braku dewiz, zagraniczne tytuły kupowane były z kilkuletnim poślizgiem) – czułem doń pewien dystans, wynikający z dezorientacji (nijak mi ci rycerze Jedi nie pasowali do tych kosmicznych krążowników!). Trzeba bowiem zaznaczyć tu wyraźnie, iż opowiedziany w filmie konflikt ma dwie płaszczyzny: to nie tylko walka Dobra ze Złem, ale również starcie dwóch koncepcji świata – stehniczowanego Imperium (wierzącego tylko w siłę ognia kosmicznych fortec) i postrepublikańskiej Rebelii (której w niespodziewany a skuteczny sukurs przyszła zapomniana religia).

W pełni „chwyciłem bluesa” oglądając kolejny film cyklu – „Imperium kontratakuję” (1980 r.; reż. Irvin Kershner). Urzekł mnie jego mroczny klimat (rzadki to przypadek, by sequel filmu był lepszy od części początkowej!), zaś do mistycznej Mocy przekonał mnie, wzorowany na buddyjskich mnichach, Mistrz Yoda („Nie próbuj. Zrób to albo nie rób tego –ale nie próbuj!”).

Wyczekiwane zwieńczenie – „Powrót Jedi” (1983 r., reż. Richard Marquand) – też nie rozczarowało. Tu cała idea osiągnęła swe apogeum: perfekcyjna pułapka zastawiona na Rebeliantów przez Cesarza okazała się nie być absolutnie doskonałą („ziarnkiem piasku” stał się zwykły odruch serca, gest bezinteresownej przyjaźni: niespodziewana interwencja bezbronnym właściwie Ewoków odmieniła cały łańcuch przyczynowo-skutkowy), zaś zaprzędany ciemnej stronie Mocy lord Darth Vader stał się znów, w ostatnich chwilach swego życia, Anakinem Skywalkerem (dawnym rycerzem Jedi, ojcem Luke'a).

Trzy powyżej omówione filmy noszą numery IV, V, VI („Gwiezdne wojny” z 1977 r. swój numer i podtytuł – „Nowa nadzieja” – otrzymały dopiero na późniejszych kopiach). Lucas, po niespodziewanym dla siebie samego sukcesie pierwszego filmu, zapowiedział nakręcenie jeszcze dwóch trylogii: wcześniejszej (I, II, III) i późniejszej (VII, VIII, IX). Z tej drugiej ponoć ostatecznie zrezygnował, na tę pierwszą kazał nam czekać do przełomu stuleci.

Wcześniej (1997 r.) przypomniał na dużym ekranie pierwotną trylogię. Pomysł dobry, zważywszy na młodsze pokolenia fanów – ale nieco „nadpsuty” zbytnią ingerencją w oryginalny materiał: nie mam nic przeciwko paru nowym ujęciom (np.

kilka panoram z lotu ptaka), jednak niektóre „poprawki” są po prostu okropne (np. zastąpienie „hymnu Ewoków” scenami wybuchów radości, po śmierci Cesarza, na rozmaitych planetach – jakby Imperium straciło nagle wszystkie swe garnizony).

Gorszą traumą dla starych wielbicieli Gwiezdnej Sagi okazały się jednak nowe epizody; i to pomimo tego, że za kamerą stanął znów osobiście George Lucas.

„Mroczne widmo” (1999 r.). Opowieść o początkach końca Republiki oraz o spotkaniu rycerzy Jedi z obdarzonym niezwykle silną Mocą dzieckiem. Tu rozczarowań jest kilka: okazuje się, iż cały upadek wielkiej Republiki wspieranej przez wspaniałych Jedi zaczął się od banalnej „bitwy o handel”; przywodząca na myśl zarówno manicheizm, jak i ying-yang. Moc okazuje się być czymś w rodzaju mitochondriów we krwi; pojawiają się sceny i postacie już nie poetycko baśniowe, ale ordynarnie infantylne. Nieliczne plusy filmu to: „charakterna” królowa Amidala (przyszła matka Luke’a i Lei), pełen rozmachu obraz stołecznej planety (nie do zrealizowania na przełomie lat 70. i 80.) oraz przede wszystkim – misterne przejmowanie władzy przez senatora Palpatine’a (przyszłego Cesarza).

Wyraźnie lepszy jest „Atak klonów” (2002 r.) – opowieść o emocjonalnym dojrzewaniu nastoletniego już Anakina – choć ciągle „to jeszcze nie to”. Tutaj plusów zdecydowanie jest więcej (ukazanie różnych zakątków stolicy; iście kryminalna intryga; Palpatine otrzymujący godność Kanclerza; zawiązanie wątku Boby Fetta – przyszłego łowcy nagród), jednak wiele minusów nadal ciąży nad tą nową opowieścią (wpisana „pod publiczność” obecność obu robotów – z całego kontekstu „Nowej nadziei” wynikało przecież, iż ucieczka z planami Gwiazdy Śmierci była ich pierwszą wojenną przygodą i że nie spotkały one nigdy wcześniej Obi-Wana; przyszły lord Vader odwiedzający gospodarstwo swego brata – jakże w przyszłości mógłby on nie szukać tam syna!).

Na wszelkie zarzuty odnośnie prequeli Lucas odpowiadał butnie: że to zupełnie nowa historia, że nakręcona dla młodszej widowni, że ewentualne żale starych fanów go nie obchodzą etc.

A ja sam zastanawiam się chwilami, co stanowi o niepowtarzalnym klimacie starej trylogii: archetypiczna prostota tej opowieści? fakt, iż tamte części sagi powstawały z potrzeby serca, a nie dla szmalu? dodatkowy kontekst realiów „zimnej wojny”? Nie wiem.

Coś jednak chyba do szanownego twórcy/producenta dotarło (mniejsza sprzedaż biletów, bo na nowe części nie chodzi się po kilkanaście razy, jak się chodziło na stare?), gdyż zapowiedział on, że – wchodząca wkrótce na ekrany – „Zemsta Sithów” ma być znów filmem nawiązującym nastrojem do pierwotnej trylogii (ponoć nawet przeprosił starych fanów za swoje niefortunne wypowiedzi!) oraz najmroczniejszym ze wszystkich (Anakin przeobrazi się w Dartha, wymordowani zostaną rycerze Jedi, upadnie Republika, Kanclerz Palpatine zrzuci maskę „dobrego wujka” i ogłosi się Cesarzem...); ma to być nawet pierwszy film cyklu obwarowany w USA ograniczeniami wiekowymi dla widzów!

Może tym razem Lucas dotrzyma obietnicy? Nadzieję mam już niewielką (jednocześnie bowiem krążą pogłoski, iż planuje raz jeszcze przerobić epizody IV-VI – i to dość zasadniczo: niektóre twarze, sceny – by wszystko zgadzało się z epizodami I-III); ale do kina na „Zemstę Sithów” się wybiorę. Pewnie jednak tylko jeden raz...

*Jan Plata-Przechlewski*

#### **PS.**

Nie uwzględniłem w tym wstępniaku komiksów, kreskówek i książek – skupiam się tylko na kinie; gadzety mnie nie interesują.

*jpp*

## KWIETNIOWE POSIEDZENIE ZARZĄDU GKF

Odbyło się w dniu 16 kwietnia 2005 r. Ważniejsze z poruszanych spraw:

### **1. SPRAWY ORGANIZACYJNE**

#### **1.1. Sprawa Sekcji Obcojęzycznej Biblioteki GKF**

Poprzedni Zarząd w oparciu o wnioski Komisji Rewizyjnej z kontroli w 2003 roku, zlecił Markowi Falkowskiemu przeprowadzenie selekcji książek w Sekcji (2724 pozycji), celem zwolnienia miejsca dla książek Sekcji Polskojęzycznej. Książki zdjęte ze stanu zostały przeznaczone do rozdania wśród członków GKF, na fanty loteryjne oraz do ewentualnej sprzedaży.

W związku z protestem Marka Michowskiego, Zarząd powołał komisję w składzie: Marek Falkowski, Marek Michowski i Marcin Szklarski celem ponownej selekcji książek anglojęzycznych. Termin zakończenia: 24 kwietnia 2005 r. Sam fakt selekcji nie podlega dyskusji.

#### **1.2. Sprawa Nordconu 2005**

Koordynator Marta Witkowska zreferowała stan przygotowań do konwentu. Przedstawiła ogólne założenia i ustalenia dotyczące kosztów. Szczegóły zostaną podane w liście informacyjnym nr 1 (termin wykonania: 19 kwietnia).

#### **1.3. Sprawa pracy społecznej przy porządkowaniu terenu wokół Klubu Osiedlowego "Maciuś I" w dniu 23 kwietnia**

Zarząd zobowiązuje prezesów KL, aby wyznaczili do pracy członków KL:

Angmar – 5, Brethren – 2, First Generation – 3, Ordo – 1, Snot – 3

#### **1.4. Sprawa Klubu Sprzymierzonego Fremen**

Ponieważ tylko 3 członków zapłaciło składkę roczną, Zarząd GKF zawiesił KS Fremen – do posiedzenia majowego.

### **2. SPRAWY PERSONALNE**

#### **2.1. Skreślenia z listy członków GKF:**

– z byłego KL Cavum Terrae: Krzysztof Graff, Michał Obuchowski, Jakub Grabowski, Leszek Szczepański, Michał Borwański, André Golebski, Jacek Pudlik, Krzysztof Skrobański, Bartosz Michałowski, Michał Narożny, Grzegorz Niedźwiedź, Tomasz Brzozowski;

– z byłego KS Avallone: Paweł Brendel, Jakub Pachocki, Jakub Dysarz, Jacek Zaleski; – KCzK – za niezapłacenie składki rocznej: Maciej Gostomski, Robert Szewczyk, Jan Grodziński, Małgorzata Frankowska, Paweł Kozik, Łukasz Kulesza, Tomasz Nowak, Michał Dagajew;

#### **2.2. Przeniesienia**

– Magda Kaczmarczyk z byłego KS Avallone do KCzK;

– Marcin Szklarski z KCzK do KL Angmar.

#### **2.3. Urlopy**

Andrzej Dubiak (First Generation) – II i III kwartał 2005.

### **3. SPRAWY FINANSOWE**

3.1. Skarbnik GKF zreferował składkopłatność w I kwartale.

3.2. Skarbnik GKF podał stany subkont KL i KS.

### **4. PRACA KOMISJI REWIZYJNEJ**

Terminarz kontroli w 2005:

– czerwiec – DGF, DGK, DGP;

– wrzesień – Dział Biblioteczny – Sekcje Polskojęzyczna i Komiksów;

– październik – Dział Biblioteczny – Sekcja Fanzinów, DGS, Dział Kolportażu

– listopad lub grudzień – Dział Biblioteczny – Sekcja Obcojęzyczna

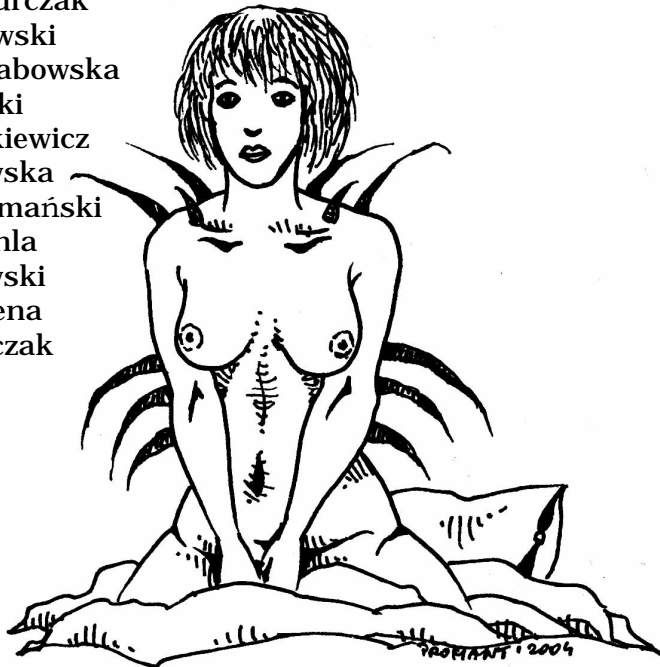
– styczeń 2006 – finanse GKF za 2005

# URODZINY

Kochani czerwcowi Urodzeńcy!  
 Udanych dzieci i wakacji  
 (albo też odwrotnie...)  
 życzy Wam

Redakcja „Info“!

- 3 Grzegorz Malik
- 5 Jacek Ingot
- 6 Dariusz Kosowski
- 10 Małgorzata Janiszewska  
Krzysztof Stokrocki
- 13 Aleksander Jurczak
- 16 Marek Dąbrowski  
Katarzyna Grabowska
- 18 Rafał Stokrocki
- 21 Dariusz Czajkiewicz  
Marta Witkowska
- 24 Adrian Choromański  
Barbara Muchła
- 27 Błażej Rajkowski
- 29 Krzysztof Pezena
- 30 Dariusz Wojtczak



## Jeden dzień we Wrocławiu czyli wiwisekcja fantasy

Wrocław — miasto powracające w prozie Andrzeja Ziemiańskiego i Roberta J. Szmida jako miejsce akcji ich utworów — gościło w dniach 7- 10 kwietnia 2005 roku miłośników *fantasy*. Sesja *W stronę wartości ludzkich: powrót do tradycji czy jej przeformułowanie? Duchowe i moralne wymiary współczesnej literatury fantasy* zorganizowana przez Pracownię Literatury Dziecięcej i Młodzieżowej Instytutu Anglistyki Uniwersytetu Wrocławskiego, stała się nie tylko okazją do spotkania różnych pokoleń badaczy literatury, lecz również konfrontacją sposobów myślenia o literaturze spod znaku „magii i miecza”.

Konferencja — w zamyśle organizatorów — była dwudzielna: przeważająca część obrad poświęcona została (z uwagi na naukowe zainteresowania gospodarzy) *fantasy* anglosaskiej i tu językiem obrad — ze względu na zaproszonych gości z USA, Hiszpanii i Wielkiej Brytanii — był angielski. Dla miłośników polskiej *fantasy* oraz tych, którzy swobodnie czuli się, mówiąc w rodzimym języku, przeznaczono dwa panele — po jednym w sobotę i niedzielę.

Mimo że moja obecność na całości sesji była niemożliwa ze względów rodzinno-zawodowych, mogłem w nadodrzańskim grodzie wysłuchać w sobotę kilku interesujących wystąpień. Ich całość można podzielić na dwie grupy. Zdecydowanie jednak przeważały ujęcia analityczne, poświęcone wybranym zagadnieniom.

Panel polski otworzyła Violetta Wróblewska (UMK) wystąpieniem *Świat zagubionych wartości, czyli fantasy Andrzeja Sapkowskiego*, prezentując odczytanie cyklu wiedźmińskiego w kontekście aksjologicznym. Nader frapującą propozycją badaczki było potraktowanie Geralta jako odpowiednika ronina — samuraja bez pana, kierującego się kodeksem wzorowanym na Bushido. Szkoda jedynie, że referentka nie rozwinęła tego wątku, choć oczywiście nie taki był cel jej wystąpienia.

W refleksji nad aksjologią Violetki Wróblewskiej sekundowali następnymi referencje. Igor Banaszczyk (UŁ) w szkicu *Umoralniać poprzez niemoralność — czyli proza Anny Brzezińskiej* mówił o grze w wartości moralne na kartach sagi o zbójcy Twardokęsku, odwołując się do antycznej koncepcji fatum i proponując hierarchię moralności w odniesieniu do bohaterów Brzezińskiej. Wnikliwa analiza postępowanie Szarki, Wężymorda, wiedźmy i innych postaci posłużyła mu do stworzenia propozycji odczytania sagi jako przestrogi przed światem pozbawionym zasad moralnych.

Katarzyna Kaczor (UG) dopełniła wystąpienia przedmówców, zastanawiając się w referacie *Wiedźmin Geralt, rozbójnik Twardokęsek i Szarka — dobrzy czy źli?* nad moralnością głównych bohaterów obu cykli: Sapkowskiego i Brzezińskiej. Analizując funkcje motywu drogi, doszła do wniosku, że służy ona samodoskonaleniu się bohaterów. I chociaż nie dopowiedziała na tytułowe pytanie swego referatu (czy było to w ogóle możliwe?), uzmysłowiła etyczne zakorzenienie protagonistów Brzezińskiej i Sapkowskiego w naszej współczesności.

Do samodoskonalenia się i etyki — tym razem w twórczości Wita Szostaka — powrócił znany z łamów „Informatora GKF-u” Marek Pustowaruk (UWr) w wystąpieniu *„I nie wrócą dawne czasy”. Żywioł zmiany i poszukiwanie sensu świata w powieściach Wita Szostaka Wichry Smoczogór i Poszarpane granie*, wiążący świat smoczogórskich górali z Tolkienem. Analizując wpływ czynnika zmiany na postępowanie bohaterów, zwrócił on uwagę na ich stosunek do tradycji i jej twórczej przemiany.

Jedynym obcym akcentem tego dnia było wystąpienie Anny Gemry (UWr), która w szkicu *Terry`ego Pratchetta koncepcja ludzkiej wolności — rekonesans* akcentowała (wbrew tytułowi, wcale nie w sposób ogólnikowy) Pratchettowskie polemiki ze

schematami myślenia o człowieku. Zwróciła uwagę na dorastanie bohaterów cyklu „Świat Dysku” do wolności, traktowanej jako wyzwolenie z konwenansów i sposobu na poszukiwanie własnej tożsamości.

Dopełnieniem sygnalizowanych tu analitycznych referatów stało się wystąpienie piszącego te słowa, w którym starałem się dać syntetyczny obraz rodzimej *fantasy* z perspektywy czytelnika. Zainspirowany pracą P. Grażyny Lasoń-Kochańskiej *Czytając fantasy...* (stanowiącej, notabene, 13 tom „Anatomii Fantastyki”), próbowałem dać odpowiedź na pytanie o czytelnicze oczekiwania w stosunku do *fantasy* i skonfrontować je z rzeczywistością w szkicu *Współczesna polska literatura fantasy: stan obecny, szanse, zagrożenia (zapiski z perspektywy czytelnika)*.

Mimo iż organizatorzy nie potrafili precyzyjnie odpowiedzieć na pytanie, kiedy prezentowane referaty ukażą się drukiem, wydali swoistą syntezę wystąpień w postaci zbioru ich abstraktów, który otrzymał każdy uczestnik sesji. Ciekawemu i wartościowemu pomysłowi nie towarzyszyła jednak w pełni satysfakcjonująca realizacja. Trudno bowiem czytać format A4, zwłaszcza gdy nie jest on w formie broszury, lecz pliku kartek. Dobrze jednak się stało, iż pomyślano o takiej formie zaznajomienia z referatami osób, które (jak ja) nie mogły uczestniczyć w całości obrad. Szkoda też, iż nie został zapowiedziany ciąg dalszy, jako że jednak sesja, nawet najdłuższa, nie zdoła wyczerpać potencjalnej tematyki, jaką można byłoby poruszyć w związku z *fantasy*.

Wrocławska konferencja skończyła się, kto jednak czuł niedosyt, z pewnością wybierze się do Poznania, gdzie w dniach 26-28 maja br. P. Prof. Antoni Smuszkiewicz organizuje spotkanie miłośników *science fiction*, poświęcone obcemu i obcości w literaturze i kulturze.

Adam Mazurkiewicz



## – ZAPROSZENIE DLA FANÓW I TWÓRCÓW

Serwis "Aleja Komiksu" ([www.aleja-komiksu.pl](http://www.aleja-komiksu.pl)) zadebiutował w Internecie pod koniec sierpnia zeszłego roku. Jak wywnioskować można z samej nazwy, zajmujemy się tematyką komiksu, w szerokim tego słowa znaczeniu (obejmującym także filmy, książki, gry itp. - o ile wkraczają one na pole zajmowane przez komiks).

Informujemy o nowościach w Polsce i na świecie, zapowiedziach poszczególnych wydawnictw, publikujemy artykuły i recenzje, przedstawiamy przykładowe, udostępnione przez wydawców plansze z komiksów, wspólnie z partnerami medialnymi organizujemy konkursy.

Współpracujemy ze wszystkimi polskimi wydawnictwami komiksowymi, a także z osobami prywatnymi: rysownikami, scenarzystami itp. Naszym patronatem medialnym obejmowane są wybrane serie/albumy poszczególnych wydawnictw.

W chwili obecnej pracujemy nad wprowadzeniem na stronę działu, w którym zamieszczane byłyby cyklicznie komiksy różnych twórców. W związku z tym poszukujemy ludzi chętnych do tworzenia (rysowania, pisania) komiksów – zdecydowanych zająć się tym z pasją i odpowiedzialnością.

Wszelkie zapytania i uwagi proszę przysyłać na adres: [c.z.yaqza@wp.pl](mailto:c.z.yaqza@wp.pl).

Grzegorz Ciecieląg



## NEBULE WRĘCZONE

30 kwietnia, podczas uroczystego bankietu w Chicago, ogłoszeni zostali tegoroczni laureaci Nebuli, nagrody Amerykańskiego Stowarzyszenia Science Fiction. Wyróżniono:

♦ **w kategorii powieści:** Lois McMaster Bujold za „Paladin of Souls”,

♦ **w kategorii mikropowieści:** Walter Jon Williams za „The Green Leopard Plague”,

♦ **w kategorii dłuższego opowiadania:** Ellen Klages za „Basement Magic”,

♦ **w kategorii opowiadania:** Eileen Gunn za „Coming to Terms”,

♦ **w kategorii scenariusza:** Fran Walsh, Philippa Boyens i Peter Jackson za „Władcę Pierścieni: Powrót Króla”.

Przyznana została również Damon Knight Memorial Grand Master Award, którą odebrała Anne McCaffrey.

MJS

## OBCY I PREDATOR RAZ JESZCZE

Wytwórnia 20th Century Fox zapowiedziała wyprodukowanie drugiej części filmu „Obcy contra Predator”. Producenci liczą na powtórzenie względnego sukcesu kasowego – część pierwsza zarobiła w USA 80 milionów dolarów.

To niekoniecznie dobra wiadomość – prawdopodobnie oddali się bowiem w czasie realizacja piątej części „Obcego”.

MJS, [film.onet.pl](http://film.onet.pl)



## DO TRZECH RAZY SZTUKA!

Wydawnictwo Literackie zakończyło właśnie edycję (33 tomy) „Dzieł zebranych” Stanisława Lema.

Dwa dawniejsze podejścia krakowskich wydawców do tak potężnego przedsięwzięcia zaowocowały o wiele mniej kompletnym zbiorem tytułów (tym razem i cenzura się już nie wtrącała, i Maestro zgodził się na przypomnienie socfantastycznego „Obłoku Magellana”).

jpp

## GWIEZDNY SERIAL



Wielkimi krokami zbliża się premiera „Zemsty Sithów”, trzeciej części pierwszej trylogii gwiazdnej sagi, przewidziana na 19 maja. Tymczasem George Lucas uradował/przeraził (niepotrzebne skreślić) swoich fanów zapowiedzią powstania serialu „Gwiezdne wojny”. Scenarzystą i reżyserem pierwszych trzech odcinków będzie reżyser komedii Kevin Smith.

MJS

## OD JULIUSZA DLA JERZEGO

Oryginalne "Gwiezdne wojny" otrzymały Jules Verne Award na XIII Festiwalu Filmów im. Juliusza Verne'a (6-11 kwietnia, Paryż).

Laureata, z listy stu filmów przygodowych i fantastycznych, wskazali internauci.

jpp

## ROBERT SHECKLEY W SZPITALU

Znany twórca fantastyki trafił do szpitala w Kijowie, gdzie brał udział w konwencji. 76-letni pisarz nie oddycha samodzielnie i jest utrzymywany pod respiratorem. Lekarze określają jego stan jako bardzo poważny.

MJS



## LEW W KLATCE

Lew Rywin, producent filmowy (raczej już były) oraz bohater najsłynniejszej (aczkolwiek nie największej) afery III RP - rozpoczął odbywanie kary dwóch lat więzienia. W wielu komentarzach mówi się o "karaniu miecza, a nie ręki" (zresztą tu pewnie na miejscu byłaby raczej stara ZMP-owska pieśń o "milionach rąk"...).

My natomiast dołożylibyśmy Rywinowi kolejne dwa lata: za filmową adaptację "Wiedźmina"!

jpp

## WIEK $E=MC^2$

W stulecie (1905) teorii względności Alberta Einsteina - rok 2005 ogłoszony został Światowym Rokiem Fizyki.

jpp

## RADCLIFFE NADAŁ POTTEREM

Daniel Radcliffe, odtwórca głównej roli w filmowej serii o Harrym Potterze, zagra ją jeszcze raz, w części piątej.

Twórcy filmów zapowiadali wcześniej, że wymienią najważniejszych aktorów po czwartej części, jeśli będą wyglądać zbyt staro jak na wiek bohaterów.

„Harry'ego Pottera i Zakon Feniksa” nakręci brytyjski reżyser telewizyjny David Yates. Zdjęcia rozpoczną się w styczniu 2006 r., a premiera będzie miała miejsce wiosną lub jesienią 2007 r.

MJS, [www.film.onet.pl](http://www.film.onet.pl)

## KONTYNUACJA „PIOTRUSIA PANA”

Jak poinformowała Agencja Reutera, brytyjską pisarkę Geraldine McCaughrean wybrano spośród setki konkurentów jako tę, która napisze autoryzowany dalszy ciąg Piotrusia Pana. Konkurs zorganizował londyński szpital dla dzieci Great Ormond Street, który posiada prawa autorskie do klasycznej opowieści J. M. Barry'ego o chłopcu, który nigdy nie dojrzał. Pisarz podarował te prawa szpitalowi w roku 1929.

Od tego czasu stanowią one dla niego stałe źródło dochodów, które wygaśnie w 2007 roku w Europie i w 2023 roku w USA. Zaproponowana przez McCaughrean kontynuacja będzie nosić tytuł „Kapitan Pan”.

deckard ([www.gildia.com](http://www.gildia.com))

## OKŁADKA NOWEGO „POTTERA”

Dla wszystkich osób opętanych potteromanią prezentujemy okładkę kolejnej odsłony przygód młodego czarodzieja.

Ceti

## JACKSON NAJBARDZIEJ WPLYWOWY

Peter Jackson, reżyser „Władcy Pierścieni” i efektownych tanich horrorów, uznany został najbardziej wpływowym człowiekiem w Hollywood. Drugie miejsce zajął Steven Spielberg, a trzecie Steve Jobs i John Lasseter, właściciele Studia Pixar. Ranking przygotował magazyn „Premiere”.

MJS, [www.film.onet.pl](http://www.film.onet.pl)

# Klaudia Heintze

## Foką zwana

wywiad dla "Informatora" GKF-u



### Miejsce urodzenia? Przodkowie?

Miejsce urodzenia: oczywiście Katowice.

Przodkowie... To dziwna sprawa, bo jeszcze mój ojciec jest niebywale dumny ze swego szlacheckiego pochodzenia i nosi sygnet z herbem rodzinnym, a dla mnie to ledwie jakaś anegdota, ciekawostka. Nawet nie wiem, gdzie dokładnie leżały te nasze (ich?) legendarne włości. Jakie to ma obecnie znaczenie? Jedyne, o czym może warto wspomnieć to fakt, że moim pierwszym językiem był niemiecki, a jako dziecko długo modliłam się i kłęłam wyłącznie w tym języku.

### Czy AS wykorzystał twoje nazwisko w „Narrenturmie”?

Nie wiem. Znał je z pewnością i nawet swego czasu stwierdził, że jest ciekawe i można by je wykorzystać, ale raczej wątpię, bo Heintze to jest raczej fonetyczny i do tego odrobinę zniekształcony zapis mojego nazwiska. O to trzeba by ASa pytać, nie mnie.

### Co studiowałaś? Temat pracy magisterskiej?

Najpierw filozofię, potem resocjalizację, a potem integrację europejską (no, dokładnie: Strategie i zarządzanie przedsiębiorstwami w warunkach integracji Polski z Unią Europejską, ale to strasznie drętwa nazwa). Na uwagę zasługuje temat mojej magisterki z resocjalizacji: Science Fiction jako subkultura. Tytuł jest dokładnie zacytowanym jednym z podtytułów z artykułu J.Goimarda „Generacja science fiction”, zamieszczonego w Nowej Fantastyce z września 1990. Wyniki i wnioski prezentowałam na Seminarium Literackim i na Polconie (zdaje się) 2001.

### Zawód wykonywany?

Ogólnie rzecz ujmując negocjuję kontrakty, czyli kupczę robotą wykonaną przez pracowitych, zdolnych ludzi. Zdarza mi się też tłumaczyć z niemieckiego i angielskiego, ale to niestety są same nieinteresujące rzeczy i nie ma się czym pochwalić. Tyle, że nie ma ryzyka, że wydawca nie zapłaci albo płaci mało.

Dla zarobku zdarzało mi się robić przeróżne rzeczy włącznie z nagrywaniem chórków do płyt (wszystkie zrobiły kłapę), reklam dla radia, pisaniem wniosków o dotacje z UE, wychowywaniem niewinnych przestępców w Areszcie Śledczym, pracowaniem jako ochroniarz na koncertach rockowych, czy siadywaniem we wdzianku torreadora na samochodach podczas Autosalonu Nie wiem, czy cokolwiek z tego jest na tyle ciekawe, żeby o tym pisać w Informatorze. W ogóle jakaś nieciekawa osoba ze mnie...

Może damy sobie spokój z tym wywiadem?

### Ulubione sporty? Co i jak długo trenowałaś?

Trenowałam, tak na serio, tylko pływanie i Ju-jitsu. Pływanie wybrałam dlatego, że miałam basen w szkole, a Ju-jitsu ze względu na to, że daje szerokie spektrum możliwości ludziom drobnej budowy (czyli kurduplom, jak ja). Nie chcę tu szczególnie reklamować swoich umiejętności, może więc napiszmy, że w wyniku tych zabiegów nie boję się wejść ani do wody, ani w ciemną ulicę. Może warto wspomnieć, że moja nieszczęsna ksywka nawiązuje właśnie do tego, jak wyglądam pływając. Można się domyślić, że mój „sztandarowy” styl to kryta żabka, nie kryta foka. A, właśnie:

pracowałam też jako ratownik, tyle że to wiąże się z kilkoma mało zabawnymi wspomnieniami. Tacy pięcio- siedmiominutowi topielcy śnią mi się dotychczas...

Ostatnią moją wielką pasją jest nurkowanie, tyle że wątpię, by w moim wykonaniu był to sport, raczej rekreacja.

#### Ulubione miejsca?

Nawiązując do ulubionych sportów, zachwycają mnie rafy koralowe. Nie wszystkie oczywiście widziałam, ale sama formacja ze swym bogactwem form i kolo-rów, z bajeczną wprost różnorodnością fauny, to coś, czego w żaden sposób nie da się opowiedzieć. A i to, co pokazują filmy przyrodnicze, nawet w części nie oddaje tej swobody i poczucia przebywania w innej rzeczywistości, jakie ma człowiek na głębokości kilkunastu metrów. To chyba najwspanialsze, co przeżyłam. Lepsze nawet niż zejście w głąb piramidy, wspinanie się na półkę skalną w Meteorach, czy jazda na motocyklu z prędkością... nie powiem jaką, ale oczywiście niedozwoloną.

Jakie jeszcze miejsca mogę wymienić jako ulubione? Częściowo zdradziłam je w poprzednim zdaniu. Z pewnością Meteory i klasztory zbudowane na niesamowicie wysokich ostańcach, niektóre nadal niedostępne drogą lądową. Na pewno któryś z zabytków starożytnego Egiptu i raczej nie piramidy, lecz wielka świątynia w Karnaku, albo zbudowana przez królową Hatszepsut wielopoziomowa świątynia w Deir el-Bahari. Nic nie poradzę na to, że osobiste sprawdzenie, iż historia to coś, co przeżywają zwykli ludzie jako jednostki, a nie abstrakcja, robi na mnie wielkie wrażenie.

Wśród ulubionych miejsc powinna znaleźć się u mnie woda jako taka. Lubię wodę i jeżeli tylko nie dostaję wysypki, jestem w stanie taplać się w czymkolwiek: w gliniankach, cudzych basenach, kałużach, jeśli są wystarczająco duże i składają się z wody, a nie brudu, czy w ekstremalnych przypadkach pod zraszaczem na trawniku.

#### Co czytasz najchętniej poza fantastyką? Ulubieni autorzy i utwory?

Joyce, Tuwim, Heinemann. Wiem, że to mało oryginalne, ale lubię Umberto Eco, nie tylko „Imię róży”, ale i jego publicystykę. Z konkretnych pozycji wymienię jeszcze „Myśli” Pascala i „Rozmyślenia” Marka Aureliusza.

Ulubieni autorzy z dziedziny fantastyki? Zdecydowanie Wells; ulubiona książka: „Ludzie jak bogowie”, Dick; książka: „Człowiek z Wysokiego Zamku”, Lem oczywiście, ale tu trudno mi zdecydować się na ulubioną książkę – jeżeli decyduje ilość „czytań” to zdecydowanie „Cyberiada”. Wielkie wrażenie zrobiła na mnie „Diuna” Herberta, czy „Gra Endera” Carda. A żeby nie dyskryminować fantasy przyznam jeszcze, że lubię Kaya.

#### Jakiej muzyki słuchasz najchętniej?

Zacznę może od ulubionego utworu muzycznego, bo mam taki. Absolutny numer jeden z przewagą dwóch długości nad całą resztą muzyki to kaprys a-moll op.24 Nicolo Paganiniego. A potem? Pochlebiam sobie, że słucham muzyki dobrej, bez ograniczania się do konkretnego gatunku. Najwięcej zdecydowanie klasycznej i metalu; z tym drugim jestem identyfikowana głównie ze względu na koszulki, które noszę. Cóż, nikt nie sprzedaje koszulek z Bachem czy Wagnerem?

Wywiad przeprowadził Marek Michowski

## Dokonania Klaudii (niektóre)

#### Wykłady i prelekcje

Medytacje (a)moralne (SzXV)

Fandom przełomu wieków (S00)

Prawdziwe oblicze baśni (S02)

Tolkienowskie fanfiction kontratakuje (S04) (dla pełnoletnich P04)

#### Konkursy i spotkania, które prowadziła

Konkurs dla archeopteryksów i nietoperzy czyli wysokie loty klasyki fantastycznej (P03)

Początki i końce (P04)

Alicja w Krainie Czarów (P04)

Diuna Franka Herberta (N04)

Puchatek (N04)

Skąd się wzięli superbohaterowie (K05)

Kalambury (P04, K05)

z Andrzejem Ziemiańskim (P03)

z Tadeuszem A. Olszańskim (P04)

z Jerzym „Jurzym” Szeją (P04)

#### Recenzje

Kupujcie Joaśkę

#### Opowiadania

Dziewka do wynajęcia (Harpiun)

#### Występy w konkursach strojów

"Jak zwykle w dziedzinie strojów wszystkich przebiła Foka" Nordcon według Martynty

P.S. Nie powiedziałam Markowi, że splamiłam się też pisaniem poezji, co doprowadziło mnie nawet do wygrania kilku konkursów. Nie muszę się chyba też publicznie przyznawać do pisania podręczników?

Klaudia



Na zdjęciu: Klaudia na tle Marka Michowskiego. Jej ręce nie są pobrudzone, ale ociekające krwią (w domyśle: niewinnych mężczyzn).

[przypis jednej z frakcji redakcyjnych Informatora GKF]



TARSEUH

99B

## Fear & Grzędowicz Company

Jarosław Grzędowicz  
*Księga jesiennych demonów*  
 Lublin 2003, wyd. „Fabryka Słów”



Jarosław Grzędowicz usiłował wskrzesić *Księgę jesiennych demonów* żywa niegdyś tradycję literatury grozy, której świetność skończyła się w Polsce wraz ze śmiercią Stefana Grabińskiego. Wprawdzie później wielu próbowało (między innymi Stanisław Lem, choć jego *Śledztwo* to raczej powieść „anty-gotycka”), niekiedy z nie najgorszymi skutkami. Spróbował i Grzędowicz, efekt jednak nie okazał się nazbyt rewelacyjny. A szkoda — tym bardziej, że rama konstrukcyjna tomu zapowiadała ciekawą sytuację narracyjną, wprowadzającą kolejne opowiadania (nie jest to, notabene, pomysł Grzędowicza — z powodzeniem wykorzystał go choćby Jacek Komuda w pierwszym wydaniu *Opowieści z Dzikich Pól*. W reedycji został on pominięty, co znacznie zubożyło wartość rzeczzonego tomu). W zbiorze Grzędowicza owa swoista szkatułkowość narracji nie została umotywowana w żaden sposób. Bo czymże są owe historie w kontekście rozmowy bohatera z szamanem miejskim? Przykładami losów gorszych od jego własnego? Świadectwami nieuchronności przeznaczenia? Ostrzeżeniami? Domkniecie fabularne ramy konstrukcyjnej nie potwierdza żadnej z sygnalizowanych tu możliwości.

Powyższe uwagi nie oznaczają jednak, że *Księga jesiennych demonów* to zbiór chybiony. Wręcz przeciwnie: Grzędowiczowi udało się bowiem to, od czego, zdaje się, powoli zaczęliśmy odwykać, zalewani anglosaskimi opowieściami utrzymanymi w estetyce *splatterpunku*. Nie szafując nadmiernie obrazami fizjologicznymi, autor *Księgi jesiennych demonów* potrafi zaniepokoić, a niekiedy i solidnie przestraszyć, odwołując się jedynie-li do sytuacji znanych odbiorcy z życia codziennego. Znamienne przy tym, iż u Grzędowicza przerażające są nie tyle same opisywane zdarzenia, co (i to należy szczególnie mocno podkreślić, jako rzecz godną uwagi) implikacje z nich wynikające. Wizyta pacjenta u psychologa, marzenia o spełnionej miłości i lepszym życiu to tematy „ograne”, przywoływane wielokrotnie i trudno byłoby powiedzieć o nich coś nowego, gdyby poprzestać na ich warstwie fabularnej. Jednakże te same tematy, traktowane pretekstowo, ujawniają swe „drugie dno”: oto banalna — zdawałoby się — historyjka o pakcie z diabłem (*Klub absolutnej karty kredytowej*) nabiera cech uniwersalnych jako opowieść o życiu na kredyt, który trzeba będzie kiedyś spłacić. Podobnie ciekawie korespondują ze sobą *Opowieść terapeuty* Grzędowicza i *Dopuszczalne straty* Mai Lidii Kossakowskiej, traktując o świecie porzuconym przez Boga, w którym instancja ostateczną staje się wola dokonującego wyboru.

Szczególnego znaczenia nabiera język, którym Grzędowicz prezentuje swe opowieści. Stonowany, istnieje niejako „przezroczyście”, nie zwracając na siebie uwagi zbędnymi manierizmami. Dzięki tej cesze znaczenia nabiera sceneria akcji, z celowo podkreślaną swojskością, która dodatkowo wzmacnia uczucie niesamowitości (tu Grzędowicz wpisuje się zresztą w tradycję polskiej fantastyki — rodzimej nie tylko z racji autorstwa, lecz również scenerii fabuły). Rzecz bowiem nie dzieje się na mitycznym potraktowanym Zachodzie, lub w bliżej niedookreślonym „Neverlandzie”, lecz „tu i teraz”. Jest to — zwłaszcza w odniesieniu do literatury grozy — decyzja o tyle słuszna, że łatwiej i skuteczniej jest straszyć swojskim konkretem niż sytuacją spoza obszaru czytelniczego doświadczenia codzienności. Tym bardziej że owa codzienność może zaskoczyć nas nie tylko — wbrew tytułowi — jesienią (we wszystkich opowiadaniach przewija się motyw listopada). Demony bowiem czekają na nas, by — niczym w Grzędowiczowskich opowieściach — ujawnić się w dniu naszym powszednim.

Adam Mazurkiewicz

## Dwóch...



Patrząc na współczesny rozkwit literatury fantastycznej, można odnieść wrażenie, że dorośli czytelnicy stoją na wyraźnie przegranej pozycji. Młodzież ma Harry'ego Pottera, Eragona czy Wojny Duszaków, a co z dorosłym czytelnikiem, który chciałby uciec na chwilę od zalewu infantylnizmu?

Na szczęście autorzy dostrzegli powstałą lukę. Książka, która nie ucieka magii, jest z pewnością dzieło Susanny Clarke pt. "Jonathan Strange i pan Norrell". Akcja pierwszego tomu powieści rozgrywa się w początkach XIX wieku, gdy zapomniana magia powraca do naszego świata. Co więcej, okazuje się, że nigdy go nie opuściła. W Anglii pojawia się tajemniczy pan Norrell, który udowadnia, że magia ciągle potrafi być skuteczna. Stanowi to olbrzymie zaskoczenie dla szerokiego grona "magów", którzy od lat zajmują się naukowym badaniem ksiąg magicznych i dysputami na temat swych własnych traktatów, zapominając całkowicie o praktycznej stronie przedsięwzięcia. Po udanym debiucie pan Norrell przybywa do Londynu, gdzie stara się zastosować magię do celów polityczno-militarnych. Początkowo traktowany z pobłażaniem, jako ciekawostka salonowa, Norrell osiąga wreszcie swój cel, gdy zmuszony okolicznościami, przywraca do życia zmarłą narzeczoną sir Waltera Pola. Jednak ten cud ma swoją straszliwą cenę, która może zagrozić nie tylko Norrellowi, ale wszystkim mieszkańcom naszego świata.

Choć po lekturze pierwszego tomu można odnieść wrażenie, że głównym złym jest pan Norrell to jest nim jednak ktoś inny – tajemniczy osobnik o włosach jak puch ostu, który z czasem będzie odgrywać coraz poważniejszą rolę. A kim jest tytułowy Jonathan Strange? W pierwszej części cyklu dowiadujemy się o nim stosunkowo niewiele. Jednak wedle wszelkich znaków na niebie i ziemi stanie się on godnym przeciwnikiem Norrella i zarazem drugim magiem w Wielkiej Brytanii. Czy będzie mniej antypatyczny od pana Norrella, przekonamy się dopiero w drugim tomie. Spotkanie magów wydaje się być nieuchronnym i będzie prowadzić do wielu intrygujących zmian.

Powieść polecam nie tylko dorosłym miłośnikom Harry'ego Pottera, ale wszystkim czytelnikom, którzy cenią sobie dobrą intelektualną rozrywkę. Osobiście podobało mi się w niej specyficzne wysmakowanie zarówno stylizacji, jak i języka, które pozwoliło przenieść się w świat XIX wiecznej Anglii. Akcja, choć toczy się stosunkowo powoli, nie nuży, a jedynie zachęca do dalszej lektury. We wszystkim wyczuwa się ducha epoki. Liczne nawiązania do postaci i wydarzeń historycznych tylko pogłębiają przyjemność płynącą z wylapywania wszelkich smaczków. Przyznam, że dla osób nieobytych z mitologią celtycką oraz tradycją powieści wiktoriańskiej niektóre elementy mogą wydawać się nieciekawe lub wręcz nudne. Przyznam, że sam wielokrotnie odwoływałem się do encyklopedii, aby sprawdzić jak pewne wydarzenia wyglądały w rzeczywistości. Bardzo interesujące są pojawiające się w książce przypisy, stanowiące często opowieści same w sobie. Ich ilość jest momentami przytłaczająca, ale dzięki temu lepiej wczuwamy się w epokę. Wielkie brawa należą się tłumaczce, której udało się zachować ułotną atmosferę oryginału.

Wiele osób może być zaskoczonych "ubogim" wydaniem książki. Osobiście uważam jednak, że okładka powieści doskonale komponuje się z treścią. Subtelna, lekko niepokojąca, ale równocześnie starannie zrównoważona. Okładki kolejnych tomów różnią się jedynie kolorem i numerem tomu. Rozczarowujący jest jedynie rozmiar pierwszego tomu, który liczy sobie zaledwie 300 stron. Mnie lektura sprawiła dużą przyjemność, choć zdaję sobie sprawę, że czytelnicy przyzwyczajeni do współczesnego stylu pisania będą sarkać. Takie ich prawo, dla mnie jednak Jonathan Starnge i pan Norell to lektura pierwszego sortu.

Adam Wieczorek (www.gildia.com)

**Susanna Clarke „Jonathan Strange i pan Norrell”.** Wydawnictwo Literackie, 300 s.

## ... magów...



Nie upłynęło dużo wody w Wiśle, a do rąk czytelników trafił drugi tom powieści Susanny Clarke "Jonathan Strange i pan Norrell". W stosunku do pierwszej części akcja posunęła się znacznie do przodu, ogniskując uwagę na poczynaniach Jonathana Strange. Choć zdecydowanie sympatyczniejszy od Norrella, Starnge nie jest pozbawiony typowych dla swej epoki przywar. Wraz ze swą czarującą i wyrozumiałą żoną przybywa do Londynu, gdzie nawiązuje współpracę z Norrellem, zostając jego uczniem. Pomimo pozornej serdeczności Norrell stara się izolować Strange'a od "złych wpływów", które mają się objawiać zainteresowaniem magią elfów. Nic w tym dziwnego, skoro to właśnie przez niedopatrzenie Norrella elf (człowiek o włosach jak puch ostu) przejął kontrolę nad połową życia małżonki sir Waltera Pola.

Współpraca obu magów układa się w miarę poprawnie do czasu, gdy admiralicja postanawia wysłać jednego z magów na teren Hiszpanii, gdzie toczą się zacięte walki z wojskami Napoleona. Początkowo Norrell sprzeciwia się wyjazdowi, jednak dzięki podszeptom Drawlighta postanawia wysłać na front Strange'a. Pomimo początkowej niechęci do magii przejawianej przez Wellingtona obaj dżentelmeni nawiązują współpracę, która bardzo korzystnie odbija się na przebiegu działań wojennych. Po powrocie do Anglii Jonathan Strange nie jest już tylko uczniem maga, ale szanowanym w kręgach rządowych i wojskowych magiem. W końcu decyduje się na zerwanie współpracy z Norrellem i rozpoczęcie własnych badań.

Tak pokrótce przedstawia się historia przedstawiona na kartach drugiego tomu przygód niezwykłych, a jakże, dżentelmenów. Akcja toczy się zdecydowanie szybciej niż w poprzednim tomie i obfituje w kilka dość niespodziewanych zwrotów. Do tego drugi tom liczy sobie 150 stron więcej, dzięki czemu możemy dłużej obcować z niezwykłymi przygodami magów.

Autorce udało się utrzymać styl i atmosferę pierwszej części. Nie będę powtarzał tutaj argumentów, których użyłem przy recenzji tomu pierwszego, bo odnoszą się one również do kontynuacji. To bardzo dobra lektura, a do tego przerwana w najbardziej emocjonującym momencie. Nie mogę się już doczekać trzeciego tomu, gdzie zostaną zamknięte wszystkie wątki.

Adam Wieczorek (www.gildia.com)

**Susanna Clarke „Jonathan Stange i pan Norrell” tom 2** Wydawnictwo Literackie, 450 s.

## Manowce sensu

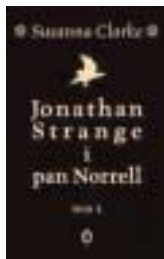
Zbigniew Batko *Oko*  
SuperNOWA Warszawa 2004



Czym jest *Oko* Zbigniewa Batko? Utwory tego rozmiaru praktyka czytelnicza nakazywałyby określać mianem powieści. Jednakże powieść, a przynajmniej jej ugruntowana tradycja forma (a fantastyka taką właśnie wykorzystuje najczęściej) ma pewne niezwykłe cechy, do których należy następstwo logiczne zdarzeń i jasno zarysowane ramy kompozycyjne. Tego zaś w *Oku* znaleźć nie sposób. Może dlatego, iż rzeczony utwór to *de facto* zbiór skeczy, z których każdy z osobna mógłby zainteresować, jednakże w większej dawce stają się niestrawne. Zapewne niemały udział w owym fiasku artystycznym ma obrona przez Batko groteskowa konwencja. Pozornie „tłumaczy” ona absurdalność zdarzeń, w których biorą udział bohaterowie. Trudno jednak nie odnieść wrażenia, że jest ona – przede wszystkim – wykrętem; pretekstem, umożliwiającym snucie „sobie a Muzom” opowieści „pozlepianej” z przypadkowych elementów, częstokroć niekoherentnych względem siebie. *Oko* to pozornie dzieje rozbitków z „Tatuńcia” (ot, takiej rodzimej wersji „Titanica” w siemiężnym wydaniu). Przemierzają oni w mniej lub bardziej prawdopodobny sposób lądy i oceany w poszukiwaniu wyspy zapisanej w spadku jednemu z rozbitków. Bohaterowie ci są



## ... dżentelmenów



Wszystko, co dobre, kiedyś się kończy. Podobnie rzecz się ma z intrygującym cyklem Susanny Clarke. Akcja tomu trzeciego różni się zdecydowanie od poprzednika. Wydarzenia nie mkną przed naszymi oczami. Można by się pokusić o stwierdzenie, że rwący potok zmienił się w spokojną i majestatyczną rzekę. Budowane przez poprzednie tomy napięcie osiąga swój moment kulminacyjny, gdy Jonathan Strange odkrywa wreszcie sposób, aby przywrócić magię Króla Kruków. Tymczasem Norrell ciągle knuje spiski przeciw swemu dawnemu uczniowi. Strange podróżuje po Europie i w końcu trafia do Wenecji, gdzie odkrywa, kim jest człowiek o włosach jak puch ostu.

Skoro jesteśmy przy tej właśnie postaci, muszę przyznać, że jego rola, budowana z tak wielką pieczołowitością od pierwszego tomu, nie zawodzi. Zgodnie z przepowiednią "Bezimienny Niewolnik" zostaje Królem Anglii, choć tkwi w tym pewien haczyk. Wszystkie wątki, nawet te, o których zdążyliśmy już zapomnieć, znajdują swe rozwiązanie w dramatycznym finale.

Książkę czyta się jednym tchem. Nie ma tu miejsca na zniecierpliwienie, które mogło towarzyszyć lekturze tomu pierwszego, czy też uczucia zbyt szybkiego przyspieszenia akcji z tomu drugiego. Patrząc z perspektywy całości dzieła, można śmiało stwierdzić, że zabiegi te były zamierzone i powodują lepszy odbiór ostatnich wydarzeń.

Język, tradycyjnie już, zachwyca. Książka nie raz wywołuje uśmiech na twarzy, zwłaszcza gdy swe tyrady wygłasza pan Norrell. Pomimo iż przekład nie jest w stanie oddać wszystkich niuansów powieści to z pewnością nie można mu nic zarzucić. Zresztą Wydawnictwo Literackie przyzwyczało nas do wysokiej jakości warstwy edytorskiej książki. Okładka nawiązuje do tomów poprzednich, choć tym razem jest to głęboka czerń. Czerni, która pozostaje w ścisłym związku z treścią książki.

Patrząc na całość trylogii, mogę śmiało powiedzieć, że jest to jedno z najciekawszych dzieł fantastycznych, z jakimi dane było polskiemu czytelnikowi się zapoznać. Choć wszystkie wątki pozostały zamknięte! autorka pozostawiła sobie miejsce na kontynuację. Wiele wskazuje, że jeszcze spotkamy bohaterów trylogii. Czego sobie i czytelnikom szczerze życzę.

*Adam Wieczorek (www.gildia.com)*

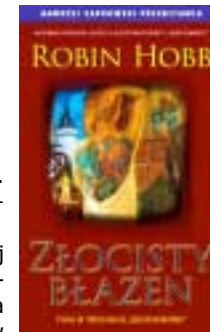
**Susanna Clarke „Jonathan Strange i pan Norrell” tom 3** Wydawnictwo Literackie, 448 s.

niezwykle ruchliwi, choć w istocie drepcą w miejscu, podczas gdy zmienia się jedynie scenografia zdarzeń. Napotykają wprawdzie na swej drodze postacie, będące reminiscencją lektur autora (latarnika, dozorującego samotną placówkę; markiza, będącego właścicielem wsi Sadówka), jednak z tych spotkań dla protagonistów nic istotnego nie wynika. W pogoni za władą trafiają wreszcie na rzeczoną wyspę, która — miast utopijnym rajem — okazuje się spełnionym marzeniem każdego dyktatora; czymś na kształt Kortezji z niezapomnianego *Agenta Dołu* Marcina Wojskiego. Wątek Astrei jest zresztą najciekawszy w powieści, niestety nie został on wykorzystany w sposób, który można byłoby uznać za satysfakcjonujący. A szkoda — tym bardziej, że mógłby stać się on pretekstem do rozrachunku z mitem „wyspy szczęśliwej”, jak i samą ideą utopii społecznej. Sygnałem do takiej — rewizjonistycznej — lektury zdaje się dyskusja Felixa Kiera z Rudim Wolffem (adwersarze okazują się zresztą braćmi-rywalami, o diametralnie różnych charakterach). Na sygnałach jednak Batko kończy, co pozwala domniemywać, że pomysł na powieść klarował się w trakcie jej powstawania. Nie wydawał się on jednak do końca jasny zapewne nawet autorowi, co w efekcie zaważyło na chaosie myślowym panującym w utworze.

Nagromadzenie zdarzeń, potencjalnie atrakcyjnych dla czytelnika, nie służy w tym jednak przypadkiem uczynienia fabuły bardziej dynamiczną. Ich nadmiar nuży, jako że większość zdarzeń nie znajduje uzasadnienia innego, niż fantazja autora. W efekcie, choć dzieje się wiele, tak naprawdę nie dzieje się nic i każdy, kto szukałby w *Oku* sensu, skazany jest na nieustanną wólcę po manowcach logiki, płynącej z czytelniczych przyzwyczajzeń.

*Adam Mazurkiewicz*

## Interesujące wizje kultury



Robin Hobb jest cenioną na świecie pisarką fantasy. W Polsce wydano wcześniej dwie trylogie jej autorstwa — „Skrytobójcy” oraz „Kupcy i ich żywostatki”.

„Złociści Błazen” to II tom kolejnej trylogii zatytułowanej „Złotoskóry”. Poznajemy dalsze losy Bastarda Rycerskiego z królewskiego rodu Przezornych (bohatera cyklu „Skrytobójcy”), dla którego skończył się już czas spokoju i odpoczynku od spraw moźnych Królestwa Sześciu Księstw. Musiał powrócić do Koziej Twierdzy w przebraniu sługi Lorda Złocistego (nowa tożsamość Błazna — ów mężczyzna coraz bardziej zadziwia swymi tajemniczymi talentami i niezwykłymi możliwościami — zmiana barwy skóry to zaledwie przedsmak) i włączyć się w wir polityki. W tomie I pt. „Misja Błazna” dowiedzieliśmy się, jak Bastard wraz z Błaznem wyrwali księcia Sumiennego z rąk Srokątych — spiskowców dysponujących magią Rozumienia. Przyjęli to miano na pamiętkę legendarnego władcy sprawującego okrutne rządy — obdarzając łaskami Rozumiejących i gnębiąc przy ich pomocy zwyczajnych ludzi. Mieszkańcy królestwa uważają, że magia polegająca na tworzeniu więzi ze zwierzętami folguje plugawej, zwierzęcej stronie ludzkiej natury, zaś owa historia (nie wiadomo: prawdziwa czy nie) usprawiedliwia wstręt i nagonkę na praktykujące ją osoby. Srokaci postanowili wyrzucić zemstę, choć jak się okazuje, z różnych względów bynajmniej nie są popierani przez większość swoich pobra-tymców.

Bastard Rycerski uratował syna, lecz stracił najbliższą sobie istotę — wilka złączonego z nim więzią Rozumienia do tego stopnia, że stanowili niemal jedność.

Teraz obserwujemy Bastarda usiłującego pomagać królowej Ketriken i całemu rodowi Przezornych, starającego się żyć dalej pomimo cierpienia i goryczy. Jego dawny nauczyciel Cierń Spadająca Gwiazda złożył mu na barkach zadanie stworzenia dla księcia Kręgu Mocy oraz uczenia go prawideł Rozumienia. Bohater musi pilnować Sumiennego — jeśli wyjdzie na jaw, że dziedzic korony włada nie tylko Mocą wzbudzającą powszechny szacunek, ale także tą obmierzłą... Skutki mogą być tragiczne. Ponadto przez cały czas boryka się z implikacjami innej bolesnej tajemnicy. Nikt poza Cierniem, królową i Błaznem nie powinien dowiedzieć się, że wciąż żyje, lecz przez to jego córka Pokrzywa nie może przybyć na Dwór, a grozi jej poważne niebezpieczeństwo...

Jakby mało było kłopotów — Srokaci wciąż działają i są bardzo niebezpieczni. Spada mu na głowę więcej problemów. Okazuje się, że córę matriarchalnych Zawyspiarzy bynajmniej nie cieszy perspektywa zamażpójścia. Narczeska Elliania ukrywa wielką tajemnicę, a w dodatku książę Sumienny jest w jej oczach godnym pogardy, delikatnym „rolnikiem”, który nawet nie rozumie, że mężczyzna powinien zamieszkać z klanem żony. Z najmniej spodziewanej strony przychodzi poważny cios — Błazen, do niedawna uważany przez Bastarda za przyjaciela, któremu zawsze może bezgranicznie ufać, także ma swoje sekrety...

Autorka nie tylko snuje opowieść o niezbyt przyjemnych przeżyciach głównego bohatera (co do którego mam mieszane uczucia, ale ja nigdy nie przepadałam za osobami wręcz maniackalnie trzymającymi się zasad), lecz niejako przy okazji prezentuje niezwykle interesujące wizje kultury.

Akcja dzieje się w Królestwie Sześciu Księstw — w każdym z nich występują niewielkie różnice w prawie zwyczajowym i feudalizm w mniejszym lub większym

stopniu. Nie ma mowy o „demokracji” stosunków pana i poddanego, choć jeden z książąt popełnił mezalians i wyniósł do swego stanu chłopkę. To co naprawdę ciekawe w konstrukcji społeczeństwa to fakt patriarchy, który nie łączy się z deprecjonowaniem kobiety i spychaniem jej w „domowe zacisze” jako jedyne miejsce dla niej odpowiednie. Niewiasty uprawiają każdy zawód włącznie z zajęciem łowczego, nadwornego szermierza, czy strażnika miejskiego. Mężczyzna może być tkaczem lub kucharzem. Dzieci obojga płci przejmują fach po ojcu lub matce zależnie od tego, który im bardziej odpowiada, a jeśli żaden... Cóż, obcy chętnie przyjmą na ucznia lub uczennicę zdolne, bystre dziecko. Nazwisko dziedziczy się po ojcu. Kobieta raczej przybiera nazwisko oblubieńca. Zwyczaj ów najprawdopodobniej wynika stąd, iż w opisywanych krainach przede wszystkim od mężczyzny wymaga się by był w stanie utrzymać rodzinę – małżonkę w ciąży bądź z dzieckiem przy piersi trudniej jest zarobić. Sytuacja ta przypomina dzień dzisiejszy z naszej przyziemnej, dobrze znanej rzeczywistości, kiedy to wyemancypowana, posiadająca własną karierę (nie mówiąc już o środkach do przeżycia) kobieta ze względu na tradycję i chęć ugruntowania swej dojrzałości zmienia własne nazwisko (choć w pewnym sensie trudno mówić, że „własne”, bo otrzymała je od męskiego przodka) na cudze. Przez pewien czas zastanawiałam się jednak, czy pisarka dokładnie przemyślała swój zabieg literacki.

Podobny obraz pojawił się już w kilku powieściach fantasy. Wielu twórców umieszcza taki model stosunków płciowych w niezbyt zaawansowanym technologicznie, feudalnym społeczeństwie bezmyślnie, bez sensownego wyjaśnienia dlaczego takie a nie inne zwyczaje zostały ugruntowane. Przecież pamiętamy z lekcji historii, że w patriarchalnym społeczeństwie panie bardzo długo nie miały szeregu praw dziś uznawanych za oczywiste, by nie rzec podstawowe. W społecznościach, gdzie dziedziczyło się wyłącznie w linii męskiej zarówno majątek, jak i tożsamość (rodowy emblemat), kobieta spełniała funkcję gwarantu przymierza, wymiany dóbr, dobrosąsiedzkich układów, a zarazem „wytrycha” do lepszej warstwy, do wpływowej rodziny. Dobra koligacja, korzystne wydanie dziewczyny za mąż zapewniało awans mężczyzny z jej rodziny. W tej sytuacji nie kształciło się zbyt chętnie kobiet (ponad to, co musiały wiedzieć i umieć, żeby zajmować się domem i nie przynieść wstydu rodzinom ojca albo męża). Po pierwsze byłby to zbyt kosztowny prezent dla rodu, któremu dziewczyna się dostała, po drugie zaś, jeszcze stałaby się niezależna i zaczęła się buntować. Niby wykształcona niewiasta może być dla niektórych łakomym kąskiem, ale tylko do pewnych granic. Oczywiście zawsze były wyjątki dość inteligentne, sprytne i silne, by zdobyć wpływy i zaistnieć jako indywidualna osoba, a nie czyjaś córka, matka, żona... Dzisiejszy stan rzeczy zawdzięczamy temu, że jednak kobiety się buntowały (w końcu całkiem skutecznie). Ostatecznie kto chciałby być postrzegany jedynie jako sposób przedłużenia rodu, i to nawet nie własnego.

Dlaczego zatem kobiety wykreowane przez Robin Hobb mają taki komfort? Sytuacja byłaby prawdopodobna, gdyby nazwisko tak naprawdę nie było ważne, służąc jedynie do odróżnienia ludzi. W końcu może się trafić identyczne imię. W przypadku chłopów, rzemieślników i ogółu mieszczan rzeczywistość wygląda na to, że liczy się rodzina, krew, a nie symbol ją oznaczający. Dlatego syna wcale nie uważa się za ważniejszego. Ojciec uczy córkę zawodu i jest skłonny oddać jej warsztat, bo... to jego dziecko i nie ważne, że jej latorośle raczej będą nazywać się inaczej niż on. Chce, żeby dała sobie radę w życiu, była syta i niezależna. Przecież nie wiadomo, czy znajdzie bogatego męża. Samo zaś małżeństwo wygląda na bardzo odrębne od instytucji „rodu” – Hobb pokazuje rodziny nuklearne. Inaczej wygląda u autorki kwestia koligacji szlacheckich – tu nazwisko i ciągłość rodu siłą rzeczy staje się bardzo ważne. Biorąc pod uwagę jednak, że władzę w danym księstwie często dziedziczy i pełni sama kobieta, bez scedowania jej na małżonka, można przypuszczać, iż w określonych warunkach jej nazwisko zostaje niezmiennione, a dzieci przejmują tytuły matki, a nie ojca. Dlatego warto również dbać o rozwój szlachcianek.

Tyle dywagacji – by czytelnicy nie poczuli się nimi znużeni czas stwierdzić, że pisarka w końcu wyjaśnia te intrygujące kwestie, choć nie wprost i przy zupełnie innej okazji.

Otóż królewski ród Przezornych wywodzi się od Zawyspiarzy, którzy niegdyś łupili i podbijali te ziemie. Zawyspiarze to naród bardzo przypominający Wikingów – wojowniczy żeglarze posługujący się runami. Ich kultura opiera się na wielu niezależnych miastach-państwach w ustawicznej wojnie (łączą siły bardzo rzadko) oraz na matriarchacie. Mężczyźni tradycyjnie wyruszają po łupy, a kobiety są właścicielkami ziemskimi oraz wykonują różne zawody. Oczywiście szkoli się je także w sztuce walki, gdyż wróg nie śpi i majątku trzeba bronić. Rodowy emblemat i dobytek dziedziczony jest wyłącznie w linii żeńskiej, najważniejszą mężczyzną w życiu dziecka jest brat matki, zaś oblubieniec przenosi się do domostwa żony (lecz nigdy nie zrywa więzów z rodziną własnej matki). Cóż, kiedyś część wojowników nie powróciła do domu, zaprowadziła własne rządy na podbitych ziemiach, ale jakoś (pewnie ze względu na wychowanie) nie przyszło im do głowy ubezwłasnowolnić swoje kobiety.

Inne interesujące kreacje kulturowe to Górskie Królestwo, skąd pochodzi Ketricken, matka przysięgłego następcy tronu, i daleki kraj kupców pływających na tajemniczych, inteligentnych żywostatkach, o których opowiada cała odrębna trylogia. W Górskim Królestwie nie ma miejsca na przepych ani twarde stosunki pan *versus* poddany. Tytuł władcy oznacza dosłownie „poświęcenie”. Muszę powiedzieć, że dawno nie spotkałam się z tak dobrze oddanymi krainami fantasy.

Robin Hobb posługując się barwnym, bogatym językiem, przedstawia złożony, niezwykle fascynujący świat. Bardzo podobają mi się opisy autorki – obfitują w szczegóły, lecz czytelnik lub czytelniczka nie będzie uskarżać się na ich nadmiar, gdyż nie odwracają uwagi, od tego co w danym momencie naprawdę istotne. W utworze Hobb ważne są nie tylko różnorodne obyczajowe scenki, skomplikowana sieć intryg, precyzyjne a zarazem malownicze opisy, ale także prezentacja postaci. Autorka konstruuje wiarygodne, choć niezwykle osoby – skomplikowane, wrażliwe, o delikatnej psychice, zmuszone do „twardości”. Dobrze oddaje proces zmian psychicznych pod wpływem okoliczności.

Na pochwałę zasługują też przepiękne rozmowy kotów z Rozumiejącymi – znakomicie oddany cudny egoizm tych stworzeń.

Niestety, niektóre rzeczy mnie rozczarowały. „Czarne charaktery” są dość przewidywalne i bazują na często spotykanych schematach, zaś część książki poświęcona negocjacom pomiędzy Rozumiejącymi a królową i książętami jest potraktowana po macoszemu. Tak jakby autorka bardzo się spieszyła...

Najbardziej przypadła mi do gustu różnorodność pokazanych kultur, które chyba spokojnie mogłyby funkcjonować w realnej rzeczywistości, oraz przemyślane tu i ówdzie elementy historii, nauki i filozofii tego świata. Przed każdym rozdziałem znajduje się fragment zapisków jakiejś persony oddający powszechny punkt widzenia na określoną, istotną dla akcji, kwestię lub sugerujący uważnym czytelnikom tropy, które później mogą okazać się ważne.

Książka została bardzo przyzwoicie wydana. Zmiana tłumacza zaowocowała co prawda tym, że mistrz stolarstwa, do którego Traf (przybrany syn Bastarda) został oddany na naukę zawodu, nagle zmienił imię, ale to w sumie drobniaczek. Korekta również sprawiła się niezłe.

Ogólnie mam bardzo pozytywne wrażenia z lektury.

Joanna „Trashka” Kułakowska

**Robin Hobb *Złocisty Blazen*** tłum.: Agnieszka Sylwanowicz, Wydawnictwo MAG, 695 s.  
cena 35 zł

## Cezar wiecznie żywy



Wyobraźcie sobie państwo rzymskie, które nigdy nie upadło. Przetrwało podział na część wschodnią i zachodnią, oparło się najazdom barbarzyńców i ciągle sprawnie funkcjonuje. Władzę sprawuje cesarz Galen Atreusz, korzystając z pomocy swych dwóch braci Maksjana i Galena. Tymczasem cesarstwo wschodnie zagrożone jest nieustającymi atakami barbarzyńców, podjudzanych przez Persję, która jest jedyną siłą zdolną zagrozić Cesarstwu. Dwóch cesarzy decyduje się na śmiały krok - przeniesienie konfliktu na ziemię wroga. W tym celu zostaje zebrana największa armia w historii Rzymu, która wyrusza przeciw Persom. Do tej intrygującej historii alternatywnej wprowadzono jeszcze element magii, która dla mieszkańców cesarstwa jest codziennością. Specjalny legion taumaturgów, zebranych ze wszystkich szkół magii w Cesarstwie, wspomaga działania wojsk rzymskich. Tymczasem w samym Rzymie, brat cesarza, Galen odkrywa, iż miasto obłożone jest potężną klątwą, która nie pozwala na jakikolwiek rozwój technologiczny. Wraz z perskim czarownikiem podejmuje się wskreszenia jednego z najwybitniejszych wodzów rzymskich – Juliusza Cezara. Z jego pomocą podejmie próbę zdjęcia klątwy.

Nie są to jeszcze wszystkie wątki powieści Harlana. Mamy tu bowiem do czynienia z całą gamą bohaterów. Poznamy więc losy młodego Irlandczyka – Dwyryna McDonalda, który zostaje wcielony do legionu taumaturgów. Jego niezwykła biegłość we władaniu magią ognia, kilkakrotnie wydaje się rozstrzygać losy bitew. Poznajemy też egipskiego kapłana, dawnego nauczyciela Dwyryna, Ahmeta. Nie zgadzając się z decyzją władz szkoły magów o wysłaniu Dwyryna do legionów postanawia wyruszyć w daleką podróż i wesprzeć go swą wiedzą. Po drodze poznaje arabskiego kupca o imieniu Mahomet. Wraz z nim dociera do Palmyry, która przygotowuje się do odparcia Perskiej armii ekspedycyjnej. Wśród bohaterów nie zabrakło też kobiet. Mamy więc młodą niewolnicę, która jest mistrzynią sztuk szpiegowskich. Dziwnym zrzędzeniem losu stanie się najbliższą powiernicą Galena i wraz z nim wyruszy w daleką i pełną niebezpieczeństw wyprawę w głąb ogarniętej wojną Persji. Drugą postacią kobiecą jest Thyatis – wytrawny zabójca i dowódca centurii do zadań specjalnych. Przerzucona w głąb Persji przygotowuje grunt pod nadejście wojsk dwóch cesarzy.

Pomimo tak wielu wątków autor poświęca dość czasu każdej ze swych postaci. Dzięki tym zabiegom poznajemy przebieg wojny oczami zarówno generałów, jak i szeregowych żołnierzy. Wszystko to zostało połączone otoczką magii, która jest tutaj bardzo potężna. Mamy w niej do czynienia z żywiołami i demonami. Przez chwilę zastanawiałem się, czy autor nie wrzucił do powieści wątków z mitologii Lovecrafta, jednak po sprawdzeniu okazało się, że wymieniony demon jest częścią mitów arabskich.

W opowieści ważną rolę odgrywają postaci drugoplanowe. Nie sposób przejść obojętnie obok marudnego Juliusza Gajusza czy odważnego, ale rozsądnego dowódcy wojsk Perskich. Natomiast głównym złym okaże się arabski czarnoksiężnik, choć sądząc po niektórych opisach nie jest on do końca człowiekiem.

Wielowątkowa fabuła, dobre sceny batalistyczne, ciekawe – choć dość sztampowe – postaci pierwszoplanowe, rewelacyjne postaci planu drugiego oraz magiczna otoczka powodują, że lektura jest przyjemnością. To dobra lektura, choć momentami pozostawia wrażenie niedosytu, spowodowanego zbyt powierzchownym potraktowaniem realiów, w których została umieszczona. Osobiście czekam na ciąg dalszy, zwłaszcza, że na arenę wkroczy kolejny wódz z przeszłości.

Adam Wieczorek ([www.gildia.com](http://www.gildia.com))

Thomas Harlan *Cień Araratu* Prószyński i S-ka, 560 s. cena: 39 zł

## Krzyżacy, muzułmanie i cykliści



Jak wyglądałby świat, gdyby na jednym z wielu swych rozdroży historia skręciła w inną stronę niż to rzeczywiście miało miejsce – to temat wdzięczny i nieraz podejmowany przez fantastów, a także lubiany przez czytelników. Pozwala pisarzowi rozwinąć skrzydła wyobraźni, daje możliwość popisania się dbałością o szczegóły, opracowaniem świata podobnego do naszego, a jednak odmiennego, również wiedzą z zakresu techniki, polityki, ekonomii, socjologii i wielu innych dziedzin.

Takiego zadania podjął się Dariusz Spychalski w swej debiutanckiej powieści „Krzyżacki poker”. Opisuje w niej dzieje Europy lat pięćdziesiątych XX wieku zdominowanej przez Turków, których najwyraźniej nie udało się odeprzeć wojskom polsko-szwedzkim w czasie odsieczy wiedeńskiej. Zgodnie ze spekulacjami historyków z naszej rzeczywistości, po tej klęsce wyznawcom Allacha i Mahometa udało się podbić prawie cały kontynent, który został zdominowany przez Islam. Chrześcijaństwo należy tu do mniejszości, wiarę tę zachowali między innymi mieszkańcy ziem Zakonu Krzyża oraz Rzeczypospolitej. Większość państw zachowała pewną autonomię, po kilku wiekach trwania takiej sytuacji liberalnie traktują one obywateli, również imigrantów i niemal wszyscy są zadowoleni z panującego *status quo*. Tylko Krzyżacy mają w sobie dość patriotyzmu czy może raczej buty i środków, by próbować pokonać i przepędzić niewiernych Mahometan oraz dążyć do przywrócenia w Europie wiary w Chrystusa. W związku z tym porywają jedyne na świecie naukowca mogącego zbudować broń atomową, a ponadto zaczynają przeprowadzać tajne akcje, mające na celu skłócenie dwóch najsilniejszych państw, Turcji z Rzeczpospolitą, jak również liczne działania jawne dla odwrócenia uwagi od swego prawdziwego celu.

Każda strona konfliktu przedstawiona jest tak, że raz budzi sympatię, by kiedy indziej ukazać twarz okrutną lub próżną. Najciekawszy są chyba Krzyżacy, tacy sami jak dawniej, dumni i zadufani w sobie. Posiadają znakomity plan działań i walczą o swą religię. Wszak już tylko im na niej zależy. Czy czynią to z pychy i nienawiści dla innowierców, czy też z miłości do krzyża, który noszą na mundurach? Czy to ich poczynaniom powinien sprzyjać w myślach czytelnik, czy raczej konformistycznym Rzeplitom, Węgrom albo Prusom, wśród których znajdzie się niejeden cwaniak i złodziej?

Podobać się powinna idea założonej w XVII wieku w Afryce kolonii polskiej, interesująco się bowiem czyta o Murzynach będących właściwie w 100% Rzeplitami, mówiących czystą polszczyzną, chodzących co niedzielę na katolickie msze i noszących kontuszki oraz nazwiska takie jak np. Skórzewski. Podobnie działają polskie marki samochodów, samolotów czy karabinów, ponieważ w tym świecie nasz kraj przoduje technologicznie w wielu dziedzinach. „Kania” to broń chyba równie dobra co kałasznikow, natomiast „Zubr” jest najlepszą ciężarówką na świecie.

Należy także nadmienić, że autor nie pozostawia luki między pamiętnym 1683 rokiem a czasami, w jakich rozgrywa się akcja powieści. Wprowadza „własne” powstania i rozejmy, rewolucje, traktaty oraz przedstawia ich odpowiednie skutki na rzeczywistość. Czytelnik zaznajamiany jest z alternatywnymi faktami historycznymi systematycznie, wszelkie nowe, zaskakujące pojęcia i miejsca są natychmiast szeroko objaśniane.

Rzeczona skrupulatność nie jest jednak przesadzona, nie razi ani nie nuży. Spychalski niezłe wyważa stosunek akcji do opisów w swej powieści. Książka jest zdecydowanie rozrywkowa, tempo szybkie, fabuła wystarczająco dopracowana, by się podobać i zachęcać do przeczytania kolejnego tomu. Można ją zwłaszcza polecić wielbicielom wojny z całą jej otoczką, fascynatom historii w zmienionych wersjach, jak również poszukiwaczom nietypowego patriotyzmu i kolorytu polskiego.

Boo! ([www.gildia.com](http://www.gildia.com))

Dariusz Spychalski *Krzyżacki poker t. 1*. Fabryka Słów, Lublin 2005. 384 s. cena: 24,99 zł

## Sierżant Lancelot – znowu do raportu!

*„Mówią, że nadzieja umiera przedostatnia.  
Dłużej przeżywa tylko czarny humor...”  
sierżant Lancelot Gievtz,  
Kompania Zwiadowcza 17 Batalionu  
Sił Szybkiego Reagowania Królestwa*



Nieznaną planetą, nieznanym czasem. Królestwo - jeden z ostatnich bastionów cywilizacji w tym świecie. Kilka milionów obywateli zamieszkujących wysepkę na morzu chaosu zwaną Dzikimi Kresami. Na Pograniczu trwają nieustające walki. Oddziały wierne Królestwu próbują powstrzymać przeważające siły wroga spoza Sfer. Ościenne państwa nieustannie dążą do poszerzenia swych wpływów, nie przebijając w środkach. Tymczasem dominacja Chaosu nad światem ludzi pogłębia się...

Sierżant Lancelot dowodzi Kompanią Zwiadowczą, czyli zbieraniną wyrzutków i przestępców z całego państwa. Służba w niej jest jak wyrok śmierci - najtrudniejsze zadania, najniebezpieczniejsze odcinki Pogranicza... Obecna misja w pobliżu sennego Joudzou na granicy północno-wschodniej wydaje się być zaskakująco spokojna. Niestety, do czasu... Zaczyna się powoli, jeśli tak można nazwać regularną bitwę z użyciem broni ciężkiej. A później jest tylko lepiej. Plugawe rytuały, zakazana magia i zdumiewające jej połączenie z techniką, walka na polu bitwy, ale i za kulisami, w gabinetów polityków, spiski i tajemnice z zamierzczłej przeszłości - to tylko mała część tego, co na Was czeka.

Książka NIESAMOWICIE wciąga! „Sierżanta” odczytałem dopiero wtedy, gdy zobaczyłem stopkę redakcyjną na ostatniej stronie. Duży plus powieści Żambocha to wartka akcja oraz dobre, ciekawe dialogi. Opracowanie graficzne okładki, jak i szkice Dominka Brońka ilustrujące powieść, zasługują na spore brawa. Autor świetnie radzi sobie zarówno z polem bitwy, jak i dworskimi intrygami. Co więcej, polityczne salony Królestwa nie ustępują dynamiką zdarzeń targanemu ciągłym konfliktem Pograniczu! Każda rozwikłana zagadka prowokuje setki nowych pytań. A gdzieś tam w mroku czai się odpowiedź - przerażająca i niewyobrażalna prawda, której ujawnienia możemy się spodziewać dopiero na kilku ostatnich kartach powieści. Myślę, że jako rekomendację potraktujecie fakt, że w klimacie świata dostrzegłem pewną nutkę „Września” Pacyńskiego.

Nie szufladkowałem tej pozycji jednoznacznie w przegródce z napisem „akcja”. Mimo, że hitchcockowsko zaczyna się od trzęsienia ziemi, a później napięcie wzrasta, to książka nie jest też wolna od nieco głębszych przemyśleń. Nie trzeba długo szukać, by między „efektami specjalnymi” dostrzec moralne rozterki głównego bohatera. Żamboch ustami bohatera stawia wiele pytań o moralność i relatywny wymiar „zła”. Świat wszak nie jest czarno-biały. Problem polega na tym, ile zaakceptujemy odcieni między tymi skrajnymi barwami...

Napis na tylnej okładce głosi: „Czesi mają swojego Sapkowskiego – Poznaj nowego mistrza!”. Osobiście nie lubię takich deklaracji. Gdy czytałem go przed lekturą, wydał mi się tylko beczelną reklamą. Po mojej lekturze „Sierżanta” nabrał jednak nieco innego znaczenia. Porównanie Mirosława Żambocha do AS-a nie jest tak bezsensowne, jak mogłoby się wydawać. Obaj pisarze imponują lekkością pióra i umiejętnością przykucia uwagi czytelnika na wiele godzin. Zaryzykowałbym stwierdzenie, że Czech stworzył jedynotomowy odpowiednik polskiej sagi o wiedźminie – pozornie całkowicie odmienny, ale w wielu miejscach bliźniaczo podobny. Wam pozostawiam osąd tego twierdzenia.

Nie bójmy się tego powiedzieć: panie i panowie – przed wami książka, która stanie się hitem tej wiosny. „Sierżant” z pewnością spodoba się nawet najbardziej wybrednemu czytelnikowi. Czekamy na kolejne rarytasy zza południowej granicy! A tymczasem... marsz do księgarń!

Misha (www.gildia.com)

**Mirosław Żamboch** *Sierżant* Fabryka Słów, Lublin 2005. 368 s., cena: 29.90 zł

## Fantastyczne warsztaty literackie



Nie wiem za bardzo, na jakiej zasadzie to działa, ale są autorzy, którzy nieważne, co stworzą, a i tak da się to czytać. Podobnie jest w przypadku "Galerii złamanych piór". Feliks W. Kres, w mojej opinii, czegokolwiek się dotknie, zamienia we wspaniałą literacką przygodę. Pozycja ta - trzeba powiedzieć od razu, że odważna - wędrowała sobie po poszczególnych recenzentach Nowej Gildii. Jakoś nikt nie chciał się w nią zagłębić, "co w niej może być fajnego?" - mawiano. I tak z ręk do rąk, aż trafiła do mnie. Jako że żadnej dziwnej książki się z zasady nie boję (bo obawiam się tylko większości nowoczesnej fantasty), podszedłem do niej bez oporów i... rozbawiła mnie do łez. Ma chłop cierpliwość i poczucie humoru. Nie ma co.

Kto przy zdrowych zmysłach podjąłby się takiego zadania - nauczania młodych (bez)talentów (tu właściwie wypadłoby wstawić moje błędne spojrzenie po ścianach pokoju)? Jak widać, zdarzają się i tacy i chwala im za to. Ktoś musi. Natura pustki nie znosi. Autor "Księgi całosci" nadaje się do tego jak mało kto, sam jest doskonałym rzemieślnikiem i gawędziarzem, z kosmosu porad nie przytacza. Choć niektórzy zarzucali mu w listach bezcelowość podobnych działań i brak odpowiednich predyspozycji, Kres też kiedyś był tylko początkującym pisarzem, uczestniczył w warsztatach, podpatrywał najlepszych - najlepiej uczyć kogoś na własnych błędach. Czy jakoś tak.

Jeżeli ktoś uważnie śledzi polską fantastykę, czytuje odpowiednie czasopisma, nie znajdzie w pozycji nic (no, prawie nic) nowego. Jeśli chodzi o mnie, to było mi bardzo miło przypomnieć sobie fenixowe kąciki, a i całkiem świeżą "Galerię osobliwości". Skąd to wynika? Niejednokrotnie teksty (pre)debiutantów wręcz kipią niezamierzonym humorem, a gdy znajdzie się ktoś taki, kto potrafi jeszcze celnie to podchwycić, mamy do czynienia z niezłą komedią (z odpowiednim przesłaniem, żeby nie było). Najlepsze są chyba kawałki, w których bardzo młodzi ludzie (to widać od razu) wyskakują jak Filip z konopi z tekstami w stylu: "e, ty taki owaki, jak możesz?, kto ci dał taką władzę?, a w ogóle to ja jestem najlepszy - sam zobacz". I widzimy wszyscy, bez dwóch zdań.

Na końcu, w ramach bonusu, zamieszczone są opowiadania w surowej postaci. Niezredagowane, przed jakąkolwiek obróbką. Tak, by pokazać najważniejszą sprawę w całej tej pisarskiej babraninie - praca nad tekstem to 90% wartości dzieła. Co ciekawe, niezły wybór, bo jedno z nich to typowy bubel, drugie to średniak, a trzecie podobało mi się nawet w tej, dajmy na to, kiepskiej formie.

Nie ma się co więcej rozwodzić nad tą pozycją. Miło, że ujrzała światło dzienne, w końcu nie samą beletrystyką człowiek żyje. Podziwiam wydawców za ich odwagę, bo o ile znam podobne przypadki to "Galeria..." jest tylko wagonikiem ciągniętym przez inne lokomotywy. Ale nie mnie oceniać. Nie polecam graczom rpg, osobom, których ta tematyka nie interesuje, bo i po co. Rządym ciekawostek i wszystkim wtajemniczonym tudzież tym, którzy chcieliby takimi zostać, jak najbardziej. Dobra to rzecz, aczkolwiek nie nowa.

P.S. Jedno mnie tylko "rozdrażniło" - coś w rodzaju politycznej poprawności autora. Po co ten gość się tak tłumaczy? Nie podoba się, to nie czytaj. Ot, i tyle co miałem do powiedzenia.

Greg K1ler (www.gildia.com)

**Feliks W. Kres** *Galeria złamanych piór* Fabryka Słów 2005, 416 s., cena: 25 zł

*muzyka = fantastyka = fantazja*

## „FANTASTYCZNA” MUZYKA FILMOWA



No cóż, zabierając głos nie z pozycji „domownika”, ile raczej „przyjaciela domu”, czuję pewien dyskomfort psychiczny, by nie powiedzieć – treme, lecz będąc stałym czytelnikiem niniejszego fanzinu poczułem nieprzeparatą ochotę dorzucenia swoich „trzech groszy” do tematu fascynującego tu wszystkich. Poza tym czuję się w pewnym sensie usprawiedliwiony z podjęcia muzycznego tematu; swego czasu na tych łamach zainaugurowałem go sam red. nac., omawiając fantastyczny świat wyobraźni muzycznej Mylene Farmer (której osobie również kibicuję). Podejmuję zatem rzuconą przezeń rękawicę i kontynuuję temat, choć widzę go – nieco inaczej.

A że muzyka już sama w sobie – przez swoją formę, środki wyrazu, a czasami także treść (tak, tak, muzyka też ją czasem ma) – jest już „fantastyczna”, kąsek jest smakowity. Tym bardziej, że muzyka towarzysząca filmom spod znaku sf to temat kuszący, a mimo to, trochę chyba traktowany po macoszemu. Oddajmy więc cesarzowi co cesarskie i przypatrzmy się sprawie z bliska.

Oprawa muzyczna jest dla filmu niebagatelną sprawą; może podnieść walory obrazu, przenieść przekaz w inny wymiar skojarzeniowy, zbudować nastrój, zastąpić słowo lub dopowiedzieć myśl tam, gdzie powinno na ekranie zapaść milczenie.

Najprostszym zabiegiem kompozytorskim, w przypadku ścieżki dźwiękowej, jest wyrażenie charakteru filmu poprzez „nawiązanie do epoki” opowiadanej historii. To chyba najbardziej czytelny muzyczny kontekst. Pozwala widzowi szybko odnaleźć się w czasie i miejscu akcji, odebrać nastrój filmu i wczuć się w jego klimat. Tak dzieje się np. w słynnym (choć niesłusznie dziś zapomnianym) serialu TV „Robin Hood” z 1985 r., utrzymany w konwencji fantasy, w którym muzyka jest autorstwa irlandzkiego zespołu „Clannad”. Tam korzenie kulturowe muzyków, czerpiących garściami z celtyckiej tradycji, posłużyły do nadania charakteru całemu obrazowi. Nie to jednak stanowi o fantastyczności (w przenośni i dosłownie) tej ścieżki dźwiękowej. Dopiero unowocześnienie i urozmaicenie brzmienia, wprowadzenie do składu instrumentów elektronicznych i harfy, jak również wmksonowanie pozamuzycznych (odgłosów, pogłosów, szmerów, pomruków, rzenia koni, przedziwnych – trudnych do zidentyfikowania – nakładek dźwiękowych, które pozostaną słodką tajemnicą warsztatu irlandzkich muzyków) stworzyło ów niezapomniany, prawdziwie baśniowy klimat. No i teksty poszczególnych utworów w najprostszym sposobie wprowadziły do całości literacko-legendarny kontekst. Zabieg w sumie prosty, ale wymagający od muzyka wyjątkowej wrażliwości i wyobraźni, umiejętności szerszego spojrzenia nie tylko na muzykę, tak, aby w efekcie usłyszeć to c o ś, co tak naprawdę nie istnieje.

Doskonale ilustruje ten przykład wypowiedź Grzegorza Ciechowskiego, autora ścieżki dźwiękowej do „Wiedźmina”; wypowiedź, w której zwrócił moją uwagę na niezwykle ciekawą i ważką rzecz.

Na krótko przed śmiercią Ciechowski udzielił bowiem wywiadu, w którym opowiedział o pracy nad jedyną w swej karierze partyturą filmową. Odsłonił wówczas nieco kulisy warsztatu pracy kompozytora takiej muzyki, pokazał szerokie, daleko wykraczające poza muzykę myślenie o dźwięku i uświadomił, z jakimi problemami kompozytor musi się, w tym szczególnym przypadku, zmierzyć.

O ile sam film (myślę o „Wiedźminie”) niestety, nie broni się, o tyle muzyka doń – a jakże! Na samym początku, przystępując do pracy, Ciechowski postawił sobie zasadnicze pytanie do gruntownego przeanalizowania: czym jest fantasy? Dopiero potem zaczął się zastanawiać nad sposobem istnienia muzyki w takim utworze i jaki

powinna mieć ona charakter. Doszedł do zaskakująco prostego wniosku, że muzyka, ilustrująca obraz ze świata nieistniejącego, powinna również być „nieistniejąca”. Co to znaczy? Odpowiedzią był karkołomny – i zarazem genialny – pomysł połączenia w jedno elementów różnych form, gatunków i obszarów dźwiękowych, pozornie nie dających się połączyć, bo mających ze sobą niewiele wspólnego. Jego idea muzyki fantasy sprowadziła się do stylu, który pozwolił tu sobie nazwać „złączyć niezłącznie”; ot, taka gra w inteligencję ze słuchaczem. Odwołując się do wyobraźni i wrażliwości widza-słuchacza – stworzył zupełnie nową wartość. Wprawdzie zastosował podobny zabieg, jaki przed laty zastosowali muzycy z „Clannad”, lecz poszedł w swych poszukiwaniach jeszcze dalej. Przyznam, że efekt jest niezwykły: to połączenie stylu etno z elektronicznym brzmieniem, podkreślany przez partie męskiego chóru (co wprowadziło mocny, „męski” ton do opowieści, znacząco akcentując motyw heroicznego wojownika i trochę przywołujący średniowieczne kantaty a *capella*), a do tej muzyki, ewidentnie ilustracyjnej w swym charakterze (a więc ontologicznie tkwiącej w kinie), „dorzucił” przepiękny superdelikatny sopran (ukłon w stronę klasycznej opery). A jako uzupełnienie wprowadził ballady Jaskra, rodem ze średniowiecznej tradycji śpiewu trubadurów. Tak tłumaczył Ciechowski swoje rozumienie muzyki „nieistniejącej”. To niezwykle pouczający i ciekawy przykład, pozwalający z zupełnie innej perspektywy odebrać i rozumieć muzykę filmową.

Niemożliwe jest, abym na tych łamach film po filmie, soundtrack po soundtracku analizował ewolucję zjawiska muzyki „fantastycznej”, to wymagałoby osobnej pracy. Mam jednak ochotę tak sobie „głośno” tutaj porozmyślać o wybranych (wybór czysto subiektywny), charakterystycznych (pogląd również subiektywny), a więc przejrzystie obrazujących wywołaną kwestię, przykładach.

Zwrócę teraz uwagę na film (ściślej rzecz biorąc, nie tyle na sam film, bo jest, niestety, potknięciem Mistrza), lecz na muzykę, która z ekranu w nim pobrzmiwa. Myślę o „Weiserze” Wojciecha Marczewskiego, starającym się utrzymać klasę i nastrój literackiego pierwowzoru, lecz niestety – jedynie się o to stara.

Ta opowieść (Pawła Huelle) o żydowskim chłopcu utrzymana jest w konwencji realizmu magicznego, zacierająca granice między jawą a snem, magią a sceptycyzmem, dniem dzisiejszym a wspomnieniem, zawieszona jest gdzieś ponad czasem. Weiser – mgliste wspomnienie z dzieciństwa – ukształtował wrażliwość swoich podwórkowych kolegów na całe ich późniejsze życie. To przypowieść o Tajemnicy bez wyjaśnienia, pełna niedomówień, zawieszonych myśli, udręk i lęków.

Kiedy film powstawał, tuż przed premierą ujawniono w reklamach, że muzykę doń napisał Zbigniew Preisner. Poczułem lekki dreszczyk. Kompozytor ten zdążył już bowiem przyzwyczać nas do swych muzycznych wizji, do oniryczno-magnetyzujących, jeśli tak można powiedzieć o muzyce (ale chyba można!), niezwykle oszczędnych w środku wyrazu, prostych i delikatnych, a uderzających z siłą wodospadu, ścieżek dźwiękowych. Tak było i tym razem. Motyw przewodni – przepiękna linia melodyczna trąbki na tle samotnych, pojedynczych, jakby „zamglonych” dźwięków fortepianu, delikatnie „opieczona”, akompaniamentem kontrabas i gitary, cicho i nostalgicznie płynąca z ekranu – naznacza całą „przestrzeń” filmu. To właśnie ona, ta wyrazista trąbka, z lekkimi dźwiękami klawiatury (z dodanym lekkim pogłosem za sprawą fortepianowych pedałów), nadaje opowiadanej historii piętno nie do zatarcia. Specyficzna konstrukcja, tonacja i instrumentacja poszczególnych utworów przenosi widza z przestrzeni realistycznej dzisiejszego wielkomiejskiego gwaru w przeszłość, wprost do Krainy Najintymniejszych Wspomnień. Tego typu muzyka robi z widzem, co chce... To dzięki niej w największym stopniu, a nie dzięki akcji (która nie przekonuje do niczego), widz staje przed niezaprzeczalnym faktem – Weiser nie zniknął naprawdę...

Pomyślałem sobie oglądając ten film: ile można opowiedzieć dźwiękiem, przy czym wcale nie musi to być gejzer muzyki, spadający na głowę oszołomionego słuchacza. Cisza i wybrzmienie powie o psychologii bohaterów więcej niż cała symfonia. To stara prawda, odnosząca się nie tylko do muzyki.

Chcę pozostać jeszcze w nastroju wyczarowanym muzyką Preisnera, przychodzi mi bowiem nieodparcie na myśl film, o którym myślę od dawna, a który, jeśli tylko wymienię z tytułu, sprawi, że wielu z Was pewnie znacząco popuka się w czoło.

Pamiętacie „Panny z Wilka” Andrzeja Wajdy? Właśnie ten film, z jego muzyczną ilustracją, fascynuje mnie już czas jakiś. Wajda? Iwaszkiewicz? Gdzie tu fantastyka? – ktoś zapyta. Moim zdaniem jest to film fantastyczny i niezwykle, tak jak niezwykle jest opowiadanie Iwaszkiewicza (którego ten obraz jest ekranową wizją). Fabuła jest w sumie bardzo prosta: do majątku Wilko przybywa po wielu latach nieobecności niejaki Wiktor Ruben i odwiedza mieszkające tam tytułowe Panny, choć one pannami już dawno być przestały. Rysują się wyraźnie dwa światy, dwie przestrzenie, które nakładają się na siebie i postrzegane są w zależności od punktu patrzenia, jak na słynnej „magicznej” pocztówce z Japonką mrugającą okiem; dla mieszkających w majątku Panien jest to przestrzeń realistyczna, z dziećmi, z mężami, kochankami, problemami. Dla Wiktora jest to przestrzeń magiczna, tu wszystko dla niego jest takie, jakie zostawił prawie dwadzieścia lat temu, kiedy tu był ostatnio, kiedy kochał, marzył, dojrzał, żył. Wajda filmuje to wszystko przez filtry „zmiękczające”, rozmywające światło, uzyskując efekt zamglonego obrazu, ponadto nasycy obraz kolorem – zwłaszcza zieleń jest nienaturalnie (subiektywnie) zielona. I wreszcie muzyka: I Koncert skrzypcowy Karola Szymanowskiego. Do „fantastycznej” proweniencji muzyki wielkiego Karola z „Atmy” powrócę przy innej okazji, teraz wypada wspomnieć, że inspiracją do napisania tego dzieła w 1916 r. był wiersz Tadeusza Micińskiego „Noc majowa”. W twórczości tego młodopolskiego poety-metafizyka częstym motywem jest ścieranie się odwiecznych mocy Życia i Śmierci, bożki, duchy, nimfy, w tym wierszu splatają się w szalonym tańcu, do granic zatracenia, w rytmie rozbudzonej Natury. Ów koncert jest próbą oddania dźwiękiem zmagania się tych dziwnych sił. Tę muzykę można śmiało określić modnym ostatnio mianem muzyki transowej. Tak, ta muzyka to jakiś magiczny trans, zaśłuchanie w samą siebie, zapamiętanie, fantasmagoria! I ta właśnie muzyka pobrzmiewa fragmentami w tym filmie. Efekt doprawdy zniewalający; przywołam tu dla przykładu jedną choćby scenę: jest to scena, kiedy Wiktor podchodzi do dworku, a z balkonu obserwuje go najmłodsza z Panien: niby nic, on tylko się zbliża, ale ta zieleń, te ptaki, gra światła skrzących się i połyskujących poprzez gałęzie drzew, wywołana malarskim okiem Wajdy, i z offu te skrzypce... mówcie co chcecie – ale to nie jest realistyczna scena!

Na koniec zostawiłem sobie kompozytora, który każdemu miłośnikowi kina kojarzy się z kinem sf, a on, jak na złość, muzyki fantastycznej... nie napisał chyba nigdy. John Williams. To naprawdę ciekawe, ale jego muzyka nie jest, ani w swej konstrukcji, ani w zamyśle, ani w „treści” muzyką, którą wcześniej określiliśmy jako „fantastyczną”. Przyjrzyjmy się choćby utworom z „Gwiezdných wojen”: ta muzyka mogłaby z powodzeniem zabrzmieć na przykład w jakimś filmie przygodowym, wojennym, ba, nawet w romansie. Nie ma w sobie tych cech, które dostrzec można w omawianych przeze mnie powyżej przykładach. „Marsz Imperium” mógłby z powodzeniem ilustrować pojawienie się na ekranie na przykład Aleksandra Wielkiego, czy prezydenta Lincolna, a nawet Saddama Husseina. Mówię tak, by zwrócić uwagę, że pozbawiona obrazu sama ścieżka dźwiękowa ani brzmieniem, ani specjalnym składem instrumentów, ani jakimkolwiek środkiem artystycznego wyrazu nie wywołuje kontekstu kosmicznego czy ogólniej – fantastycznego. To „czysta” muzyka symfoniczna, typowo ilustracyjna, mocno zakorzeniona w muzycznej tradycji Hollywood (słynna scena, w której Luke wychodzi przed dom, wiatr rozwiewa mu włosy, a na niebie świecą dwa Księżyce – to ukłon w stronę liryzmu, rodem z tradycji „Przemienię z wiatrem”).

Nie znaczy to wcale, że ta muzyka jest zła. Przeciwnie: jest wspaniała, cudowna! Któż z nas nie kocha motywu tytułowego „Star Wars”, wspomnianego już „Marsza Imperium” czy utworu wykonanego przez Cantina Band?! Ta muzyka naprawdę jest wspaniała. Ale nie jest „fantastyczna”...

*Andrzej Habasiński*

## CYTRYNOWA REWOLUCJA ZWYCIĘŻA!

Zwyciężyliśmy!! Despota i tyran Papier zmuszony został do opuszczenia stolca prezesowskiego!

Oczywiście odbyło się to praworządnie (zgodnie ze Statutem) i spokojnie – jak to zwykle u nas, w Europie Środkowej.

Nikt, ale to nikt nie oddał głosu na byłego prezesa. Co prawda Papier nie zgodził się kandydować, ale to jego problem. Fakt pozostaje faktem.

W kuluarach krążyły wieści, iż Papier napomykał, że jeżeli 60% delegatów na Walne Zebranie padnie przed nim na kolana i będzie błagać, to miłośnicznie zgodzi się kandydować.

Jestem dumny z Waszej rewolucyjnej świadomości członkowie wielkiego GKF-u! Żaden z Was nie padł przed Papierem na kolana!

Nowy nasz przywódca Ceti (prosty lud GKF-u nadał mu już skromne przydomki: Orzeł Trójmiasta i Albatros Bałtyku) został wybrany prawie jednogłośnie. Ze smutkiem piszę to „prawie”, gdyż znalazło się kilku nieodpowiedzialnych osobników, którzy bezczelnie skreślili na kartkach wyborczych jego imię. [bezwzględnie powinny się nimi zająć odpowiednie organa!!]

A przecież miarą popularności wodza był fakt, że nikt nie ośmielił się z nim konkurować w szrankach wyścigu do stanowiska prezesa GKF!

Ceti jest skromnym, pracowitym i zwykłym (ale nie zwyczajnym) członkiem GKF-u. Jest jednym z nas! Całe swoje siły zamierza poświęcić pracy u podstaw – aby GKF rósł w siłę, a jego członkowie żyli dostatnio. Świadczy o tym jego święta przysięga, iż póki będzie prezesem, nie wstąpi w związek małżeński, który by mu przeszkadzał w obowiązkach klubowych.

Niech jednak zwycięstwo cytrynowej rewolucji nie osłabi naszej czujności. Papier już kilka razy odchodził i ponownie wracał. On jest w stanie wrócić nawet z grobu! Może drewniany kołek i dekapitacja coś by tu pomogły.

Zanim jednak sięgniemy do starych ludowych środków, użyjmy współczesne: proponuję powołanie przez Zarząd i Radę Stowarzyszenia specjalnej Komisji Śledczej do wyjaśnienia sprawy składek członkowskich Papiera.

Wyjaśniam: Papier, jako członek honorowy, nie musi płacić składek – a płaci! Jaki ma w tym perfidny cel?! Skąd bierze pieniądze? Niech na te pytania odpowie śledztwo, a winny zostanie ukarany!

Za Naczelne Dowództwo Cytrynowej Rewolucji  
(dawniej Ludowy Front Wyzwolenia GKF od Papiera)  
*Viccommandante Neo*

### GDAŃSKI KLUB FANTASTYKI

**INFORMATOR  
# 192**

ADRES GKF : Gdańsk-Przymorze, ul. Opolska 2

ADRES KORESPONDENCYJNY : skr. poczt. 76, 80–325 Gdańsk 37

REDAKCJA: Jan Plata-Przechlewski (red. nac.), Marek Michowski,

Krzysztof Papierkowski, Marcin Szklarski, Michał Szklarski

OKŁADKA: Sławomir Wojtowicz

GRAFIKI: David Brin (13), Piotr Terszel (5, 25)

CONT BANKOWE GKF: PKO BP I O/GDYNIA nr 52 1020 1853 0000 9902 0067 8359

*Nakład 400*

*WYDAWNICTWO BEZPŁATNE*

**Teksty drukowane w „Informatorze” odzwierciedlają przekonania Autorów  
i nie zawsze pokrywają się z poglądami redakcji**